

*Wiesy
ilustrowana*



*Sierpień
1911.*

ZAKOPANE

ZAKŁAD WODOLECZNICZY
D-ra A. CHRAMCA Tow. Akc.
Otwarty cały rok.

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE

LUDWIK SPIESS I SYN

WARSZAWA — Senatorska 24. ŁÓDŹ — Piotrkowska 107.

POLECA: **Nawozy sztuczne gwarantowane:**

Superfosfaty. Żużle Thomasa. Kainit. Sole potasowe 30 i 40%-we. Mączki kostne. Saletrę chilijską oraz kompletne nawozy ogrodowe.

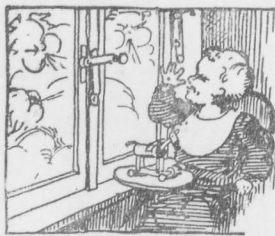
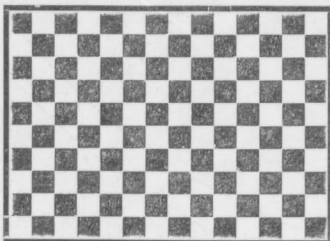
Towary apteczne i techniczne.

OSTRZEŻENIE.

Skład broni **J. SOSNOWSKI, Trębacka 9**, zawiadamia, że ogólnie uznane za najlepsze bronie firm: **G. Defourny-Sevrin, Liège** i **Manufacture Liégeoise d'Armes à Feu, Liège**, nabyć można wyłącznie w powyższej firmie; bronie zaś z napisem nie indykatywnym, są falsyfikatami, korzystającymi z podobnie brzmiącego nazwiska i firmy.

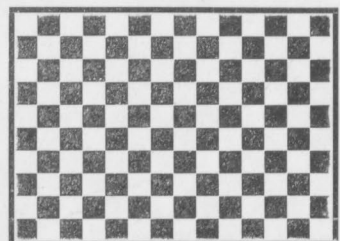
Jedyny reprezentant powyższych fabryk na Cesarstwo i Królestwo

C. LISOWSKI.



TYLKO PATENTOWANE
OKNA HERMETYCZNE SYSTEMU Wróblewskiego
dają całkiem szczelne zamknięcie **NIEZALEŻNIE OD NIEUNIKNIĘTEGO PĘCZNIENIA I USYCHANIA DRZEWA**, a także umożliwiają **WENTYLACJĘ MIESZKANIA** przy zamkniętym oknie.

Adres Reprezentacji Generalnej: „OKNO HERMETYCZNE — MINSK”. Oddziały: WARSZAWA — MOSKWA — PETERSBURG



A. TAHN & Co.

WARSZAWA, LESZNO 86.

POLECAJĄ:

Tekturę smołowcową i bitumiczną wraz z dodatkami. Lak Asfaltowy. Smołę z węgla kamiennego. Asfalt naturalny i sztuczny. Gudron.

Izolację korkową: płyty, segmenty, łupiny.
Masę Krzemionkowo-azbestową.

WYKONYWUJĄ:

ROBOTY TEKTURNOWO-DACHOWE, ASFALTOWE I KORKOWO-IZOLACYJNE.

WIEŚ ILUSTROWANA

SIERPIEŃ.



Kosiarz.
(fot. amat. p. Z. Dąbbskiej).

Wieczór sierpniowy zapada wolno, gasną zorze na zachodzie i pa-
 łą się śliczną różo-
 wością, ujętą w se-
 ledynowe obra mowania.
 Niebo czyste. Jak szmat lazuru, na który ciśnięto odbłask ognia tak lekko zabarwione, niby nikłe a widoczne. Pola okryte złotą lamą rżysk, błyszczą rosą wieczorną i pachną wonią słomy świeżej i rzeźkim a sytym aromatem ziemi. Żniwa skończone. Na polach już tylko dojrzewają jarzyny, oziminy poszły do stodół, poukładano je w sterty i stogi. Śmigają po rżyskach młode zające, dążąc do łańców łubinu i grochu, przepiórki uciekają piechotą i kwilą pieśń załosną, pieśń tęsknoty za kłosami. Spokój bezmierny ogarnął przestwór, przyroda zda się cieszyć i napawać ciszą rozlaną dokoła.

Wieczór, więc roboty skończone, ale dziś wieczór wyjątkowy, bo żniwo skończone. Powracają z pól żniwiarze z pieśnią wesołą, dziś brzmiącą tryumfalnie. Ostatni łań pszenicy dorżnięto, więc radość w sercach, piosnka na ustach.

„Plon niesiemy, plon do wielmożnego w dwór.
 Żeby pszenica plonowała
 każda kopa sto korcy dała“.

Śpiewają dziewczęta, niosąc sierpy na ramionach i pęki maków czerwonych w spracowanych rękach. Świecą w zachodzących płomieniach słońca kolorowe spódniczki, wiewają białe chustki i kapelusze słomkowe parobków, które ochocza młodzież ciska w górę w dowód wesela i zadowolenia z pomyslnych zbiorów, tak wielkiego, że musi się to wyładować zewnątrz. W rzeźkim powietrzu rozbrzmiewają swobodne głosy, śmiechy i pieśń niby jeden hejnał radosny.

Skowronek, patron pól, albo raczej pierwszy ich

karbowy, bo od wczesnej wiosny do roboty zagania, potem zachęca do stałej pracy i uprzyjemnia ją świergotem swym wdzięcznym. Skowronek i teraz lata nad polami, skrzydełka jego trzepocą się żywo, z gardziółka płyną subtelne tony, zda się wołać głosem ludzkim, młodzieńczym:

„Zebraliśmy, zebraliśmy...
 Zboże z pól, z pól, z pól.
 Bóg dał, pełny łań...
 Bóg dał, Bóg dał.
 Cześć mu! Cześć, cześć, cześć...“

Dzwonki skowronne wnoszą hen, hen, pod obłoki swe delikatne sopraniki i rozpylają je po przestworzu, niby drobne pacioreczki, które bręczą wyłączną melodją słodyczy pełną, i słodycz roniacą do serc ludzkich. A słońce zapada coraz niżej i niżej, aż wsiąkło w horyzont, jakby zatoneło w ziemię. Mrok łagodny rozpostarł swój cień nad światem, monotonię swą ukraślił miliardami gwiazd. Mnóstwo gwiazd błysnęło na niebie, zaświeciła droga mleczna, utkana jakby z przezroczej srebrnej gazy i brylantowych łez. Gwiazdy prowadzą z sobą rozmowy mistyczne, może odgadują przyszłość świata, jego tajemnice i walki, to wszystko, co dla ludzi okryte jest grubą zasłoną niemożebności, dla nich jest owiane lekką mgłą tajemniczą, którą wiekuisty wzrok gwiazd przebić może. Mistycyzm ciał niebieskich nieodgadnięty, lecz odczuty, widzi zapewne szlak przeznaczony dla wędrowki świata. Gwiazdy mrugają do ludzi: może to czarowne mrukanie jest obietnicą jakąś, zapowiedzią przyszłej świetności istnienia? Ale gwiazdy spadają w Sierpniu, spada ich mnóstwo. Może i nowe się rodzą? Nowe siły do odgadywania wszechbytu. Nowe ognie do zapalania dusz ludzkich, nowe płomyki nadziei dla ludzkości.

Gwiazdy mrugają. Wieczór sierpniowy zapanaował cichy, wonny, rozgwieżdżony.

.....

Ewka Jakuszówna idzie wolno. drogą pomiędzy wierzbnymi, głowę ma spuszczoną na piersi, znać, że myśli dziewczyny są tęskne, nawet smutne.

Jutro okrężne we dworze, dziedzic ją wybrał na przodownicę, ocenił jej pilność w pracy podczas żniw i oto ona ma nieść wieniec pszeniczny i wręczyć panu.

Dziewczyna raduje się, że ją tak wyróżniono,



Żniwa (fot. amat. hr. Ledóchowskiej).

ale smutek jątrzy w duszy i boli. Matka jej chora, bezwładna, niema co jeść. W chałupie bieda, Ewka jest wyrobnicą, nie mają gruntu, ani ogrodu, tylko to, co zarobią. Ale brat pijak, wszystko, co Ewka zarobiła podczas żniw przepił i znowu nędza. Dziewczyna, dowiedziawszy się, że będzie przodownicą, marzyła już nie o nowej sukience, ale choćby o nowym fartuszką białym z wszywką. Lecz i to zawiodło.

W domu, po powrocie z pola, została matkę osłabioną tak, że prawie konającą z głodu. Brat, jak zawsze, był pijany. Gdy ujrzał wchodzącą Ewkę, rzucił się do niej wołając o pieniądze. Wiedział, że wraca z wypłaty. Ewka broniła się, mówiąc, że pieniędzy niema, że oddała dług żydowi. Nic nie pomogło, zbił dziewczynę, pieniądze odebrał i poszedł do szynku.

— Co robić — myślała Ewka. — Matkę trzeba nakarmić, bo zemrze. Pójść po prośbie wstyd. Co robić?

Ewka, siedząc na przyźbie domu medytowała i radziła się gwiazd, oczy miała wlepione w niebieskie, drgające światelka. Nagle błysnęła jej myśl szczęśliwa.

Zebrać kłosa z pola.

I już bez zastanowienia, rozumiejąc to jako jedyny ratunek, jako radę podszeptaną chyba przez anioła, Ewka zerwała się z miejsca i poszła. Idzie oto teraz, jak żebraczka biedna, po garstkę kłosów pszenicznych, by je zemleć w żarnach i zagnieść na podpłomyk dla matki i dla siebie; bo i jej głód okrutnie dokucza.

Ewka weszła na pole, skąd przed godziną zeszedli żniwacy i zwieziono ostatnie fury pełne zboża. Mnóstwo kłosów zaściela rżysko, pogubione pojedynczo z wozów, źle zgrabione kłosa kłują w boscie nogi dziewczyny, jakby mówiąc: „bierz nas, sieroto,

chcemy ci służyć“. Ewce zdaje się, że Bóg rozsypał przed nią okruchy chleba, zbiera kłosa z nabożeństwem, otucha przepętnia jej serce. Ale właśnie w chwili, kiedy chce zaśpiewać z nadmiaru radości, nagle głos jej się zatamowuje z dziwnego lęku, prawie z przerażenia, aby nie być słyszaną i widzianą. Coś jej szepnęło w same ucho „kradniesz“. Ewka wzdrygnęła się, ręce jej opadły i posypały się kłosa z fartucha.

— Co ja robię, toć grzech!

Usiadła na ściernisku mokrem od rosy, ciężar zwałił się jej na piersi, gniotący ból zawładnął nią całą. Ostatnia nadzieja zawiodła. Ona złodziejka.

— Jezusicku najmilszy poratuj nieszczęsną — wyszeptały blade usta Ewki.

Oczy łzami zalane podniosła w górę na ciemne sklepienia niebios, na gwiazdy błyszczące i zapatrzyła się bez pamięci. Cóż ona teraz pocznie, co da matce zjeść?...

Dziewczyna zaczęła się modlić po swojemu.

— Boże mój, takam nieszczęsna, zmiłuj się nade mną. Tyle to gwiazdek śliczniuchnych na niebie, rzuć kilka dla bidnych, to im się zaro milej na świecie zrobi. Takie skarby i świecą wysoko, że i nie sięgać człowiekowi, a to szczęście byłoby, żeby te gwiazdeczki dla ludzi spadały. Ja i matka jeść chcemy, ale musimy głód cierpieć, bo cóż pocznem.

I myśli sobie Jokuszówna, jak byłoby cudownie na świecie, gdyby drogocenne gwiazdy spadały na ziemię i dołądziły ludziom sładziły. Dziewczyna rozmyśla, marzy, siedząc sama na pustym polu, nie boi się, ale zwolna do duszy jej wsiąka rozpacz.

Gwiazdy nie spadną, głód męczy, a zbierać pokarm, jaki jest dla niej możliwy nie wolno, bo to z pańskiego, zatem z cudzego pola, więc to kradzież.

— Co robić?... Powiedzta mi, gwiazdecki kochane, co ja pocnę biedota. Powiedzta!



Zaprzęg koni roboczych w Ossowcach w Galicji (fot. amat. hr. Aleksandra Potockiego).

Podnosi zbołąą głowinę i oczy zanurza w szlak gwieździsty.

A gwiazdy mrugają, mrugają.

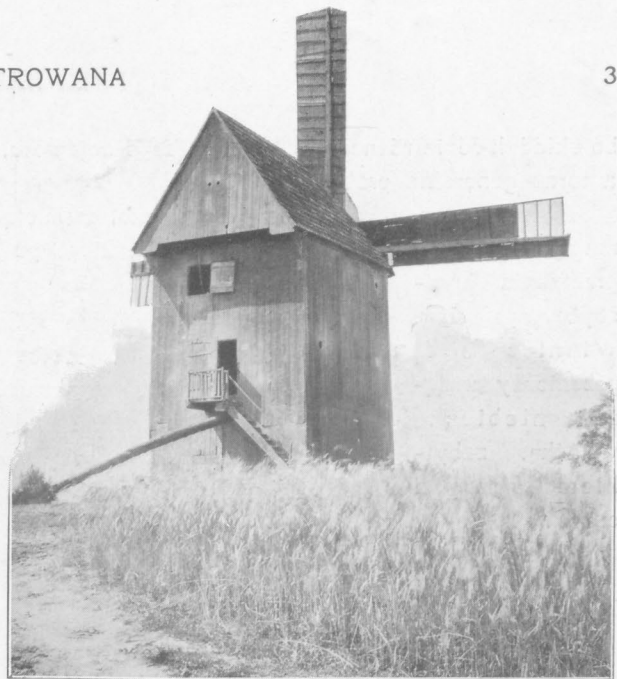
Mrugają na znak, że współczują biedzie ludzkiej, że pragnęłyby zapobiedz jej i nawet spadać byle dobrobyt rozsiać na ziemi, byle nędzę skrócić, głód uśmierzyć. Ale nie mogą zejść na ziemię, bo i one są dziećmi Boga wszechmocnego, który inne dla nich cele obmyślił. Gwiazdy są posłuszne Stwórcy Wszechrzeczy i wierzą, że On nie pozwoli zginąć swym dzieciom dobrym i wierzącym. A przecież ta dziewczynina nie wyrzeka, nie złorzeczy, tylko błaga o ratunek i modli się.

Więc gwiazdy mrugają przychylnie, pocieszając dziewczynę.

Ewka rozumie mowę ciał niebieskich, oto one mówią jej, że może sobie nazbierać tych kłosów pszenicznych, że nie zgrzeszy, bo ma na myśli chorą matkę, bo zresztą i jej żołądek wspomina się o swe prawa.

— To znaczy, gwiazdecki, że można zbierać kłosiów, że to nie będzie kradzieżą? — pyta Jokuszówna, jakby samego Boga na spowiedzi.

A gwiazdy mrugają, mrugają.



Wiatrak (fot. amat. p. Gerarda Tomerskiego).

— Okrężne! Uha! Okrężne!

Muzyka gra od ucha, aż same nogi skaczą, dziewczęta i chłopaki postrojeni odświeżnie oczekują hasła, aby ruszyć do dworu z przodownicami na przodzie, niosącymi wieniec.

Pełno wrzawy radosnej, gwaru i przyśpiewków,



Przyjście z wieniec (z tekł p. Nenckiego z Boczek).

bo układali sobie różne śpiewy na każdego ze dworu, a teraz generalna próba.

Ewka ubrana najskromniej, ale czysto, owiniętą ma głowę jasnymi jak len warkoczami, które poprzedzają krwistą barwą maków. Wieniec swój pszeniczny związuje niebieską wstążką, zabytkiem lepszych czasów.

Właśnie ma już wieniec włożyć na głowę, gdy zjawia się wśród zebranej rzeszy ekonom. Stał i z dumną miną mówi:

— Ewka Jokuszówna za karę, że wczoraj kradła kłosa na polu dworskim, przodownicą nie będzie, wieniec poniesie inna dziewczka, godniejsza, złodziejkom on nie pasuje.

Jak piorun tak padły słowa ekonomy w zebraną gromadę ludzi. Zakotłowało się. Co? jak?... Co on gada?... Ewka złodziejka?... to nie może być!

Zaczęto się skupiać, pytania zasypały ekonomę, a on, z rękoma, opartymi o boki, prawil głośno i z widoczną uciechą o tem, jak wczoraj w nocy widział Ewkę na rżysku pszenicznym, zbierającą kłosa do płachty. Nie pokazał się dziewczynie, bo chciał jej większy wstyd zrobić.

Ewka słucha obelżywych słów z martwą twarzą, jakby zastygła z żalu i przerażenia. Czuje tylko, że nie żyć jej już na świecie, że wszystko ją opuściło i zawiodło.

Zdawało jej się, że jakiś anioł pozwolił jej zebrać te kłoski jak nędzarce, a oto spada kara i wstyd.

Z początku wszyscy w gromadzie byli za Ewką, nawet gotowi jej bronić, ale usposobienie tłumu zmienia się. Ewka słyszy głosy przeciw sobie, już ją i inni oskarżają, już przybywa stronników ekonomowi, jej zaś wrogów. Nawet dziewczyny niektóre odwracają się od niej, wyrazy ubliżające latają dokoła niej, niby osy hałaśliwe. Ewkę pali

wstyd, ale żal przeważa. Nie obroni się to trudno, zresztą prawda, że kłosa zbierała, zatem kradła. Miałaby dużo na swoją obronę, lecz nie chce nic mówić. Wolno oddaje wieniec pierwszej dziewczynie z brzegu i odchodzi do chałupy swej cicha, bez słowa skargi, bez jednej łzy.

Nikt już na nią nie uważa. Ekonom włożył wieniec na głowę innej dziewczyny i cały orszak ruszył do dworu

ze śpiewem: „Plon niesiemy, plon...”

Podeszli do ganku, stoją i śpiewają. Każdemu się coś dostanie, każdemu łatkę przypną, tylko dla dziedziców sypią się pochlebstwa:

„U naszego pana studnia murowana,
A u pana w Borowicach sznurami związana.
Plon niesiemy, plon.”

Potem następują strofki na wszystkich domowników, mniej lub więcej dowcipne i znowu do dziedzicki:

„Pstry konicek, pstry, po polu wywija,
Nasa pani dziedzicka kwitnie kiej lilija...
Plon niesiemy, plon.”

Nareszcie zaintonowali chłopcy basem, a piskliwe soprany dokończyły:

„W naszej spizarni worki pełne puchu,
Nasz ekonom warczy na ludzi kiej brys na
Plon niesiemy, plon.”

[łańcuchu.

Po skończonym śpiewie, przodownice podchodzą do pana i pani, oni zdejmują dziewczynom wieniec z głów. Ale pan nad pszenicznym wieniecem zatrzymał się. Spojrzał groźnie na ekonomę.

— Dlaczego nie Ewka Jokuszówna? — pyta zdziwiony.

Wszyscy milczą, niepewni i zakłopotani.

Ekonom otrząsa się z gniewu za „brysią“, przepycha ludzi i staje przed dziedzicem.

— Gdzie Ewka Jokuszówna? Mówiłem, żeby



Olbrzymia stodoła w Giżycach, w Sochaczewskim, majątku pp. Suskich.



Przejażdżka w pole (fot. amat. Janusza Krzyżanowskiego).

ona niosła wieniec, najlepsza robotnica. Co to za zmiana?

— Ewka złodziejka, proszę pana dziedzica, nie godna wienca, kazałem jej zdjąć.

Obywatel zdumiał.

— Ewka złodziejka?... To już chyba koniec świata! Co ona ukradła?

— Kłosypszeniczne na polu, widziałem ją w nocy, cały fartuch poniosła do chałupy.

Milczenie. Ale słowa dziedzica przychylnie dla Ewki, co wszyscy odczuli, znowu przeważają szalę opinii tłumu na jej korzyść. Zaczynają się pomrukiwania.

— O la Boga! Kilka kłosinów nieboraczka se uzbierała to już takie pomstowanie?...

— A dyć z biedy, nie z rozkoszy...

— Dziewka jak złoto, nie żadna to złodziejka.

Ekonom miarkuje, że papiery jego lecą z pieca na łeb, chce utrzymać swą przewagę. Mówi patetycznie.

— Bronię pańskiego dobra, a nie swojego, to niech nikt nie dogryza.

I raptem wpada w wyjątkową szczerość. Zgrzytając zębami, zwraca się do tłumu.

— Tylko co, psiachmać, mówiliście inaczej, teraz wam bronić się jej zachciało przed dziedzicem, takie, juchy, miłosierne się porobili.

Obywatel milczy, ale spostrzegłszy, że wszyscy na niego patrzą, wydaje rozkaz.

— Ekonom, do poczęstunku! Pijcie, jedzcie i bawcie się.

Rzucono się z zachłannością do placków, piwa i owoców. Zabawa się rozpoczęła z życiem.

Skrzypce piszczą namiętnie, huczy buńczuczny bembenek, żałośnie zawodzi flet. A pary na ubitym i skropionym placu kręcą się zamasyście, aż tentent biegnie po ogrodzie, tłucze w ściany domu, że szyby brzęczą. Zabawa kipi, roztańczyli się już na dobre. W antraktach brzmią dożynkowe śpiewy, ludek się bawi, szumi, jak rozkolebany bór.

— Hu, ha! — krzyczą chłopcy, dodając sobie ochoty i kręcą w kółko dziewczyny, one zaś drobia i aż im lica krasnieją z uciechy.

Furkają w powietrzu jasne warkocze kwiatami natkane, warczą nakrochmalone spódnice. A młodzież żartobliwa coraz, to coś zaśpiewa na przekór pannom:

„Hej, dziewucho,
trząchaj sobą,
Bo tańcować ciężko z tobą.
Kończysz się kiele boku,
Kiejby torba od obroku.“

Dziewczyny chmurzą się na takie zarzuty niegrzeczne, aż któraś śmielsza, starsza dziewczka zaśpiewała odwet.

„Kto was nie zna, ten niewieda,
Że ta z wami zawsze bieda,
Na dziewczuchy wygaduje,
A jak może to całuje.“



Wśród kukurudzy (fot. amat. hr. C. Dzieduszyckiej.)



„Słodki ciężar“ (z teki p. Zofji Bilińskiej).



„Wesoły woźnica“ (fot. amat. p. Zofji Dembskiej).

Bo kazdy chłopiec pieees,
Nigdy mu, dziewczko, niewieez.

Buchnął śmiech ogólny i klaskanie rąk. Sam
dziejcz woła brawo i śmieje się do rozpuku. Za-
wstydzeni chłopcy z iro-
nią spoglądają na ro-
ześmiane, tryumfujące
dziewczeta, jakby mówili:
„niech-no sie zbuntujem a pójdziem prec,
obaczycie wtedy.“ Ale
nie myślą się buntować
i taniec wre.

Hej, okrężne! Hej,
hej!

Do obywatela, sie-
dzącego w ganku, przy-
sunął się młodszy syn
jego, czternastoletni Mo-
ryś. Twarz chłopca jest
sfałdowana boleśnie,
brwi zmarszczone, w rysach przegląda myśl i energia.

— Ojczy, powiedz, czy ty pozwolisz na to,
żeby Ewkę Jokuszównę uważano za złodziejkę? —
spytał drżącym szeptem.

— Albo co? faktycznie kradła.

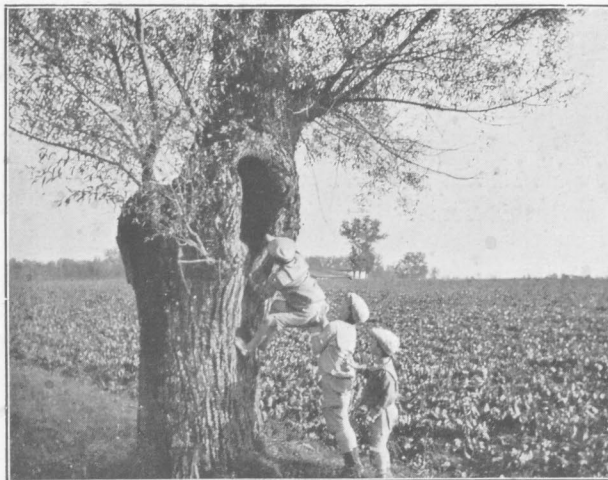
Oczy Morysia błysnęły żarem, jest gotów do
walki.

— Byłem u niej, ojczy, widziałem jej nędzę,
tam głód i nieszczęście, a u nas... pełne stodoły.
Brat Ewki, pijak, wszystko do szynku wynosi, ta
dziewczyna haruje i z głodu mrze. Ona te kłosa
zbierała, żeby uratować matkę, która od paru dni
nic nie jadła. Czy my to możemy zrozumieć, ojczy?
My robimy zbytki, a tam brak powszedniego chleba.
Byłem tam, ale widziałem się tylko z matką Ewki,
bo ona poszła, niewiedzą dokąd, pewno gdzie na

robotę. Podłomyka z tych ziarn zebranych z na-
szego pola jeść już nie chciała tak bardzo odczuła,
że ją złodziejką nazwano. Ojczy, to trzeba na-
prawić! Sam nie wierzyłeś, żeby ona kradła, więc
teraz wejdz w pobudki
jakie nią kierowały, od-
czuj nędzę.

Moryś, mówiąc, za-
pala się w oczach, łzy
błysnęły, młodzieńcze
usta drżą. To dziecko
czuje głęboko i serce
ma wielkie, otwarte dla
ludzkiej niedoli.

— Ojczulku, po-
myśl, ile zbrodni popeł-
nia rozpacz, ile drama-
tów daje głód. A cóż
zrobiła Ewka? Wszak
ona tylko kłosa zbiera-
ła, te biedne pogu-
bione ziareczka, dla nas



Zarzecze, w Galicji. Do gniazda (fot. amat. hr. Janowej Mycielskiej).

one są niczem, a jej dają życie. Czyż za to ją
potępiać? Za to rzucać na nią obelgę hańbiącą,
że chciała ratować matkę. Ojczulku mój, tyś dobry
i litościwy, ty nas uczysz, aby mieć serce dla biedy
i niedoli, więc nie pozwól na krzywdę Ewki. Jej
sam Bóg daruje, pewny tego jestem! Może te
kłoski umyślnie wola Boża strąciła z wozu, aby
Ewce służyły, może to był dar anielski dla nędzy
rozsiany, a my za to karzemy? Ojczulku, pomyśl,
co byś sam robił w takim wypadku, gdyby ci które
dziecko umierało z głodu, a tyś nie miał kawałka
chleba? Czy myślisz, że i ten nasz ekonom nie
popełniłby czegoś stokroć gorszego, niż czyn Ewki,
gdyby go bieda do tego skłoniła? O napewno!
Wolno innych potępiać, ale trzeba się zastanowić
nad czynnikami przestępstwa. Nie każda wina jedna-



Wśród kwiatów (fot. amat. hr. M. C.)

kowo może być sądzoną. Są różnice!

— Skąd ty o tym tak możesz rezonować? — pyta ojciec zdziwiony, lecz przejęty zapalem syna.

— Bo myślę, ojczulku, bo chcę żyć jak człowiek i dla ludzi.

Ewka jest niewinna,

też kobiecie, że będą na dworskim wikcie i... że Ewka będzie służyła we dworze, a teraz...

Zająknął się.

— Mów dalej.

— Dawałem

im na zapomogę...

mój zegarek, ten od

ciebie, ojczulku, ale

stara nie przyjęła.



Wśród kwiatów (fot. amat. hr. M. C.)

nie karzmy jej, bo Bóg nas skarże, ona jest nędzarką a ma zaledwie lat ośmnaście. Ojczulku, moje siostry w jedwabie się stroją, grymaszą w wykwiwnym jedzeniu. Wszystkiego im zamało. A Ewka w łachmanach musi chodzić i jak ptak żywić się ziarnem, nawet nie własnym. Własnego nie ma. Gdzież jest sprawiedliwość, o której nas uczą. Przecie i Ewka jest człowiekiem! Ojczulku, mnie boli krzywda Ewki, ją trzeba ratować!...

Obywatel patrzy na syna z przyjemnością. Zna go z tej strony, nazywają go w domu socjalistą i adwokatem. Ale dziś Moryś wzrusza ojca wyjątkowo, zapal syna udziela się obywatelowi, oczy młodzieńcze nalane gorącą miłością dla bliźnich porywają; bucha z nich płomień altruizmu, goreje wielki stos ideału i taka moc uczucia, że i staremu łyzy zaćmiły wzrok. Ojciec objął chłopca, przygarnął do siebie i szepce:

— Powiedz, coś dla nich zrobił? bo nie wyszedłeś bez tego...

Moryś spuszcza oczy, zarumienił się.

— Obiecałem, ojczu,



Wśród kłosów (fot. amat. p. Józefowej Czarnowskiej z Kroczewa).



Przy stercie (fot. am. p. Z. Smolskiej z Rochal).

Widzisz... jaka tam nędza i jaka... ambicja.

Obywatel uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze! Ale teraz cała czeladź pójdzie kłosa kraść. Suto Ewkę wynagrodziłeś.

— Ojczu, chciej zrozumieć, nie nazywaj to kradzieżą, wybac, że się sam rozporządziłem, ale...

— Ale jesteś idealistą, moje dziecko. Spełniłeś coś obiecał, a teraz zrehabilituję opinię Ewki wobec ludzi. Chodźmy!

Moryś rzucił się ojcu w ramiona z okrzykiem szczęścia.

Okrężne gasło jak zorza po wypaleniu ostatnich ognisk. Zabawa słała, cichła, aż wreszcie rozplynęła się zupełnie. Świt sierpniowy błysnął rześnością, okraszony rosą owianą zapachem zżętych zbóż.

Pogasły gwiazdy, wiele z nich spadło, sunąc za sobą po skłonie ciemnego nieba smugi świetliste. Rozbłysnął dzień, rzucił na ziemię jasność, która zawsze po mrokach otuchę niesie. Nie tylko ziemi, bo wypogadza i dusze ludzkie w udruce zatopione, dając im nadzieję.

HELENA MNISZEK.



Nad morzem w Sopotach (z teki p. H. Gallego).

Na Kaszubskim brzegu.

Słońce smutnie patrzyło przez mgły i na zachodniej stronie nieba kłębiły się groźnie czarne chmury, kiedy o 9-ej rano z kolegą Przedpełskim odpływałem z Sopot na Hel, w celu zwiedzenia kaszubskiego pomorza. Nieruchomo martwe leżały szare wody zatoki i mały nasz stateczek rażno posuwał się naprzód. Wkrótce też zaczął się wyłaniać z mgły okryty sosnowym lasem długi pas ziemi, na którym ongi kończyła się nasza Polska od morza do morza. Dotąd jeszcze, niby nasze dawne kopce graniczne, ciągnie się tam wzdłuż błękitów Bałtyku szereg rybackich wsi, gdzie na cmentarzach widnieją napisy polskie, których nie zdążyła jeszcze zatrzeć zaborcza kultura pruska.

Takie myśli snuły się nam po głowach, kiedy wylądowaliśmy na Helu... I powitał nas na wstępie typowy niemiecki kurort z pomalowaną na zielono, oszkloną werandą, biały od dołu, nakryty czerwonym, ciężkim dachem. Stał przed nami, jak opasły pruski policjant w niezgrabnym kasku i w białych spodniach i, jakby zgadując nasze myśli, wołał z daleka:

— Das ist polizei verboten!

Tych zarządzeń policyjnych mieliśmy dosyć w Sopotach, omijamy więc kurort i idziemy w stronę Jastarni.

Na lewo, wzdłuż zatoki ciągnie się niemiecka rybacka wieś, zwana Helą. W Jastarni dowiedzieliśmy się, że mieszkają tam sami Niemcy i jeden katolik.

Przebiegamy śpiesznie długą, wąską uliczkę, wysadzoną pośrodku rzędem młodych kasztanów, zaglądamy do portu, potem do starego, niemieckiego kościołka, pachnącego wrzosami i wędzącymi na ścianach gałązkami sosen i wychodzimy na drogę wiodącą do Jastarni. Droga szeroka, ciężka... Nogi po kostki grzęzną w piasku. Po krótkiej naradzie postanawiamy przejść do wielkiego morza i iść morzem, niestety, jednak przy wszystkich drogach wiodących w stronę morza widnieją napisy: „Verbotener Weg“.

Jeśli drogą nie można, idziemy bez drogi na przełaj lasem. W tym miejscu półwysp Helski jest najszerszy, dosięga bowiem trzech kilometrów szerokości, gdy koło Jastarni ma niecały kilometr. Las sosnowy karłowaty, drzewa fantastycznie powykręcane i pokurczone, dołem liliowe wrzosy, poprzerywane tu i owdzie polami sykiego, morskiego piasku. Słodki zapach wrzosów miesza się z odurzającą wonią żywicy.

Słońce przebiło mgły i zaczęło dopiekać.

Więc jęliśmy z utęsknieniem wyglądać morza, przeczuwać je za każdą górą lotnego piasku, ale napróżno. Ziemia rosła przed nami coraz szersza i piasek był coraz głębszy. Wkrótce przekonaliśmy się, że posuwamy się w głąb półwyspu równoległe z morzem, zmieniliśmy więc kierunek i po półgodzinnej jeszcze wędrówce wyszliśmy na brzeg.

Połały się na nas błękitne szumy i żalosalne krzyki new i zaskrzypiał pod nogami słoń, morski piasek.

Mieliśmy przed sobą 18 kilometrów drogi, nagi, piaszczysty brzeg z poustawianymi tu i owdzie dużymi, osmolonemi łodziami, połączone sznurami wbite w morskie dno pale, do których rybacy przymocowują sieci na węgorze — i ani jednego człowieka. Pachnąca borem i szumiąca morzem pu-



Klasztor w Oliwie od strony miasta (z teki p. H. Gallego).

stynia. I w głąb półwyspu na przestrzeni 18 kilometrów ani jednej wsi, ani jednego człowieka!

Zdjęliśmy obuwie i szliśmy morzem. Mieliliśmy pod nogami obmyty falami, twardy i gładki piasek, na który kładły się co chwila nowe piany i po którym morze skakało nam aż do kolan.

Po przejściu mniej więcej pięciu kilometrów minęliśmy latarnię morską i szliśmy wciąż naprzód,

niemiecki w Helu. Rybacy, pytani po co płacą na kościół luteranski, skoro są katolikami i należą do parafii w Jastarni, wytłómaczyli nam, że otrzymują za zniesiony serwitut leśny od rządu około 700 talarów rocznie i że jeśliby przestali opłacać podatek kościelny, pozbawionoby ich niechybnie odszkodowania za zniesiony wyżej wspomniany serwitut leśny.

Bór, to jedna z większych wsi na półwyspie.

Domy z czerwonej cegły, kryte czerwoną dachówką rzucono na miękkie piaski bez żadnego planu tak, że tu i owdzie ledwie przejść pomiędzy nimi można. Niema tam ulic, tylko jakieś kręte przełazy pomiędzy domami i chlewami, urządzone z starych łódek, tu i owdzie szerszy plac i znowu labirynt wązkich przejść, wychodzący gdzieś na niską łąkę przegładającą się, jak w lustrze, w gładkiej powierzchni martwej w tem miejscu zatoki.

Za łąką właściwa Jastarnia, dziś



Baltyk pod Sopotami (z teki p. Gallego).

nie czując zmęczenia, w kierunku północno-zachodnim. Wkrótce zaczęliśmy wypatrywać stacji ratunkowej, która miała oznaczać, że znajdujemy się już na wprost Jastarni. Wszystkie wsie bowiem są od wielkiego morza oddzielone wązkim pasem boru i z niskiego brzegu niewidoczne.

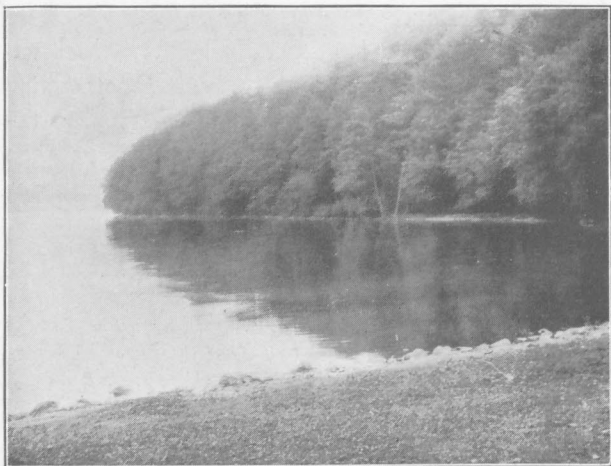
Przed dojściem jednak do owej stacji zauważyliśmy wydeptaną w piasku drogę, wiodącą w głąb półwyspu, więc nie namyślając się pozostawiliśmy za sobą brzeg morza i zaczęliśmy się piąć w górę. Wkrótce też z pomiędzy sosen wystrzelił jeden i drugi czerwony dach i tuż za nimi błysnęły na horyzoncie spokojne i gładkie wody zatoki.

Był to Bór, obecnie Gdańską Jastarnią zwany, ongi niemiecka wieś, dziś czysto kaszubska, należąca do kościoła w Jastarni i opłacająca jedynie 40 talarów, czyli 120 marek rocznie na kościół



Rybacy z Jastarni na łódce (z teki p. Gallego).

Pucką Jastarnią zwana. U wejścia do wsi, na prawo pod borem, nowa piętrowa gospoda dla przyjezdnych pana Muzy. Omijamy ją w nadziei, że znajdziemy drugą gospodę w środku wsi, skąd lepiej potrafimy się przyjrzeć jej mieszkańcom. Jakoż o godzinie 4-ej stajemy w gospodzie p. Zelina tuż przy plebanii.



Jezioro w Okrzywiu.

Gospoda znajduje się pośrodku wsi. Wieś tak samo, jak Bór, bez ładu skupiona, tonąca w miękkim piachu, tu i owdzie ubrana kępami jarzębin, cała murowana, czerwona, wieś bez ulic bez planu.

Gospodarz nasz, Kaszub, uprzejmy i miły człowiek oprowadza nas po wsi, opowiada o gościach z Warszawy, którzy w tym roku w wyjątkowo znacznej ilości odwiedzają Jastarnię i daje nam pamiątkową książkę do wpisania swych nazwisk. Przeglądamy parę zapisanych stron. Z początku przeważnie niemieckie podpisy, potem cały szereg polskich... To rok bieżący... Więc i Tadeusz Korzon i Gustaw Wolff i Henryk Galle — Warszawa, wszędzie Warszawa. Gospodarz z dumą spogląda na ostatnie stronicę.

— Chcemy rzec — mówi — w tym roku to głównie Warszawa. A to pan Arct zrobił, bo pisał o nas dużo...

Ponieważ do Kusfeldu, następnej wsi, jest według słów gospodarza duża miła, a jest już piąta, postanawiamy jechać żaglówką do Swarżewa, kościelnej wsi, znajdującej się już na stałym lądzie, w Wysokim kraju, jak mówią rybacy, i, ominąwszy Kusfeld i Chałupy, zwiedzić nazajutrz wsie rozrzucone na brzegu Bałtyku na stałym lądzie. Posiłwszy się w gospodzie, zwiedzamy jeszcze kościół, duży, niezgrabny, pachnący wewnątrz wrzosem i żywicą, i potem cmentarz, na którym prócz paru grobów niemieckich, wszędzie na krzyżach widnieją polskie napisy.

Dziwne rzeczy zaczynają mówić nam te polskie krzyże, te polskie słowa nasiąknięte błękitem nieba i morza, oddzielone od kraju setkami kilometrów obcej nam zupełnie kultury.

Jak się to stało, że wy tu stoicie jeszcze, polskie krzyże rybackie?

— A tu, to spoczywają ci, których nam morze wyrzuci, niewiadomi — objaśnia uprzejmy gospodarz,

wskazując pas ziemi bez krzyżów — dlatego i krzyżów nie ma.

Prawda! tu są i tacy...

O wpół do szóstej, pożegnawszy gospodarza, siadamy na żaglówkę.

W Jastarni nie ma portu. Duże łodzie żaglowe stoją na kotwicach o trzysta kroków od lądu. Do łódki, którą podpłynęliśmy do żaglówki, musieliśmy brnąć morzem, sięgającym nam do kolan, przeszło sto kroków. Woda była ciepła, dno równe, gładkie.

Żaglówka — duża stara łódź, szeroka i głęboka. Usiedliśmy tak, że nogi nie mają oparcia. Wiatr mamy pomyślny — od strony wielkiego morza. Żagle wypełniły się wiatrem — płyniemy.

Wiozą nas rybacy — Józef Schomborg i Johann Lissakowski.

— Nie Johann, a Jan — poprawia towarzysza Lissakowski.

— I to po katolicku — usprawiedliwia Schomborg.

Obaj mają po czterdzieści parę lat, obaj uczyli się w niemieckiej szkole po niemiecku i na plebanii po polsku i obaj potem służyli we flocie.

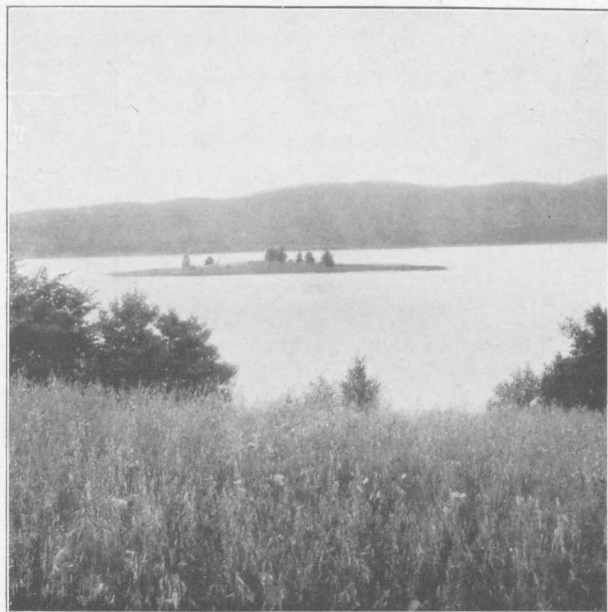
— Na takich okrętach z jeszosem do wystrzelenia — objaśnia Szomborg i kiwa głową.

Mimowolny uśmiech przemknął mi po twarzy. Rybak zauważył.

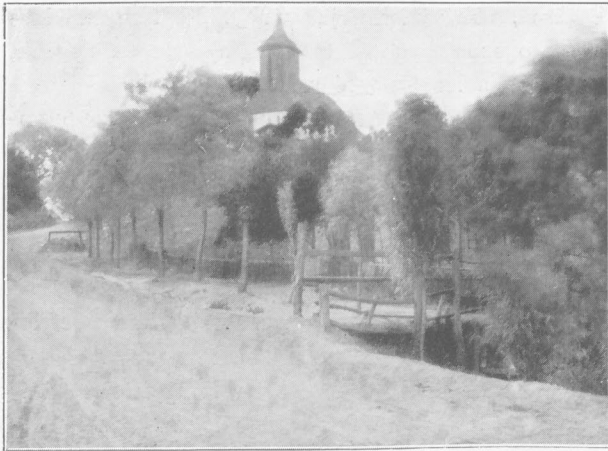
— Cóż kiedy my we szkole po niemiecku i we wojsku po niemiecku, to, chcemy rzec, przepraszamy, że źle mówimy.

Upewniam go, że mówi bardzo dobrze.

Omijamy długie rzędy kijów wbitych w dno. To zastawiono sieci na węgorze.



Jezioro w Okrzywiu.



Kościół w Okrzywiu.

— A prócz węgorzy jakie tu macie ryby? — pyta kolega.

— Różne a różne! I szczupaki, i brzoszy i płotki.

— Przecież to rzeczne.

— A bo to wyciąga z Wisły, co to płynie ze Gdańska, z Warszawy, Bóg wi skąd.

— I bretlingi też som — dodaje po chwili.

Słońce zginęło zupełnie w mgłach. Mgły powoli spełzają z nieba i kładą się na lustrzanej powierzchni zatoki. Z prawej strony sunie się czarny pas helskiego półwyspu. Jeszcze czerwienią się w dali dachy Jastarni. Za nią daleko latarnia morska zaczyna rzucać ogniste snopy.

— A tu, gdzie do widzenia są te czerwone chaty, to Kusfeld — tłumaczy rybak, wskazując ręką na wyłaniającą się z boru wieś. — Kusfeld do kościoła musi do Jastarni przychodzić, a Chalupy do Swarzewa. A tamto, gdzie do widzenia jest maszt to Chalupy.

— Ale Kusfeld to mała wieś? — pytam.

— E, nie, panowie — odpowiada mi po krótkim namyśle. — Chcemy rzec, jak na głowy porachowana, to ona większa od Jastarni jest.

— Ale też tylko rybacka?

— Tu wszystkie rybackie. Mało wiele piaseczku, to każdy ma. A jak deszcze przekropną, to bulwy rosną niegorzej. Ale my z ryby żyjem.

— Do Gdańska ją wozicie?

— Do Gdańska.

— W Gdańsku wszystko już po niemiecku?

— Jak przyjdzie, panowie. Niemcowi markę pokazać, to on zrozumie na pół słowa i Polakowi i Kaszubowi.

Minęliśmy Chalupy i zaczęliśmy się zbliżać do Swarzewa. W mroku rósł przed nami wysoki brzeg stałego lądu. Ciemno już było zupełnie, kiedy poczuliśmy pod łodzią piasek. Trzeba było jeszcze spory kawał przejść morzem. Rybacy nie pozwolili nam zdjąć obuwia. Podciągnęli swoje długie ciężkie cholewy, wzięli nas na plecy i ponieśli.

Po chwili wszyscy czterej szliśmy twardą drogą, wijącą się dołem malowniczego jaru.

— Słusznie mówią rybacy z Helu, że to Wysoki kraj — pomyślałem, rozglądając się dokoła.

Nad nami wysoko wyłaniały się z mroku czarne kontury domów, w cieniu starych drzew zabielała kapliczka z cudownym obrazem Matki Boskiej, Opiekunki rybaków, która, według ludowego podania, uciekła z Helu od Niemców przez morze i tu pod drzewami nad studzienką usiadła; wreszcie strzeliła w niebo wieża gotyckiego kościoła, wysmukła, lekka, górująca



Cmentarz w Okrzywiu (z teki p. H. Gallego).

Brama łez.
Jedna ze „stacji” w Wejherowie (Częstochowie kaszubskiej).

nad olbrzymim dachem, który niespodziewanie wyrósł nad nami.

Rybacy zaprowadzili nas do gospody Józefa Kandaua, znajdującej się tuż pod kościołem. Poprosiliśmy, żeby wstąpili z nami na kieliszek koniaku, gdyż i tak musieli czekać na ukazanie się księżycy.

Usiedliśmy pod jasną wiszącą lampą w komorze, wymalowanej na olejno, za stołem nakrytym czystą, białą serwetą.

Zaczęliśmy naszym rybakom opowiadać o Królestwie i Warszawie. Posmutnialiśmy wszyscy. Znać było, że ci osmagani wichrami morskimi, nasiąkli błękitem nieba i morza ludzie zdrowi i prości, tak samo, jak my, czują naszą wspólną bezdomność. Jakby na potwierdzenie mego przypuszczenia, Józef Schomborg pokiwał smutnie głową, rozstawił niezgrabnie ręce i zaczął powoli mówić:

— Tak... tak, panowie, to chcemy rzec, jako na polaka to wszędzie som ostre oczy. Do Pucka jakieś panowie przywieźli książki... Je tam nasz król mieczami przeбитý, goździłami umęczony...

Nie pytaliśmy, co to za król i o jakich książkach mówi. Rozstaliśmy się, jak z dobrymi znajomymi.

W milczeniu zjedliśmy wieczerzę i przejrzeliliśmy ostatni numer „Pielgrzyma“, który przyniósł nam po odejściu rybaków gospodarz.

Noc spędziliśmy w małym, ale czystym pokoiku

na górcie, pod białymi, jak śnieg, pierzynami. Na zajutrz o szóstej godzinie byliśmy już na nogach, gotowi do dalszej podróży.

Po spożyciu śniadania pożegnaliśmy naszego gospodarza i ruszyliśmy w stronę Wielkiej Wsi.

— A dokąd teraz, panowie? — zapytał nas, kiedy opuszczaliśmy jego progę.

— Przez Wielką Wieś do Rozewia.

— Tam w Reksyfcie je ładny brzeg, ale to daleko.

Żegnając Swarzewo, wstąpiliśmy do kościoła. W kościele grały organy i ksiądz odprawiał mszę. Kilka rybaczek siedziało w ławkach. Kościół ten pod wezwaniem „Beatae Virginis Mariae“ został ufundowany w XIV wieku. Jest on zbudowany w stylu go-

tyckim z ładnym belkowaniem u stropu.

Ze Swarzewa do Wielkiej Wsi najwyżej cztery kilometry. Droga winie się dołem nad brzegiem małego morza, które w tem miejscu przypomina raczej małe jezioro, nieruchome, senne. Na drodze pełno wybojów i wyrw. Rząd pruski, tak dbały o wygodną lokomocję, ten zakątek ziemi polskiej traktuje po macoszemu. To też przypominały mi się teraz dalekie drogi w Inflantach Polskich, które deptałem nieraz przed laty — te same wyrwy, te same połamane mostki i zarosłe zielskiem rowy.

Wielka Wieś — to zamożna i duża osada ka-



Krzyż nad morzem w Gdyni (z teki p. H. Gallego).



Cmentarz w Jastarni.



Kościół w Jastarni.

(z teki p. H. Gallego).

szubska, rzucona pomiędzy dwa morza na stoku zielonych wzgórz nad łąką pełną wierzb i olszyny. Idziemy środkiem szerokiej ulicy, mijamy piękną, starą chatę Białka i pozdrawiamy spotykanych na drodze gospodarzy polskiem „Pochwalony“...

— Na wieki! — odpowiadają nam skwapliwie i zdejmują kapełuszki i śmieją się do nas.

W końcu wsi pytamy spotkanego rybaka, jak najlepiej przejść do wielkiego morza.

— Do morza panowie, to tam gdzie je do widzenia krzyż, na lewo. Tam i sztrand.

I w samej rzeczce od krzyża było już tylko kilka kroków do morza.

Morze dziś miało dziwny, szafirowy ton i fale były większe niż wczora. Wszędzie kłębiły się białe grzywy i drżały w słońcu, jak rozpostarte szeroko skrzydła mew. A na lewo brzeg zaczynał powoli rosnąć i wkrótce mieliśmy nad sobą wysokie osypiska, poprzerywane tu i owdzie jarami. Koło jarów stały łódzie rybackie i były urządzone małe rybackie przystanie. A daleko przed nami na urwistym cyplu jedyne przyładku polskiego widniała czerwona latarnia morska w Rozewiu, czy w Rek-syfście, jak go nazywają teraz Kaszubi.

Brzeg stawał się coraz ładniejszy i dziksz. Z wody tu i owdzie wyglądały kamienie, pokryte zielonymi wodorostami. Fale z dziką furją biły w ich czarne grzbiety i odskakiwały wspanione, żeby za chwilę uderzyć znów.

O godz. 11-ej stanęliśmy w Rozewiu. Nad nami piętrzy się wysoka, prostopadła prawie ściana, na samym cyplu umocniona kamienną tamą, z latarnią morską na szczycie i z budynkami urzędu nadzorczego nad kopalniami bursztynu.

Z trudnością wdrapaliśmy się po stromem zboczcu góry na szczyt.

Stanęliśmy oczarowani. Za nami leżał rudy ugor i pasło się stado krów i była cicha polska wieś, a przed nami w dali błękit słonecznego nieba zlewał się z błękitem szumiącego gdzieś głęboko morza i było pełno woni drzew, kwiatów i wody.

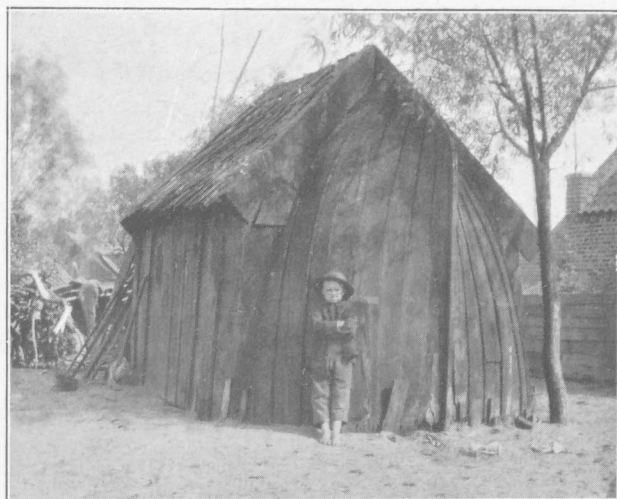
Przeszła długa chwila.

Tu przed laty Gdańszczanie toczyli bitwę morską z Duńczykami, tu za Jana Kazimierza lądowali Szwedzi i pustoszyli całą okolicę... Dziś... dziś ci, co ten kraj pustoszą, nie potrzebują lądować — po drutach telegraficznych idą nakazy z Berlina...

Smutni powlekliśmy się ku niemieckiej osadzie



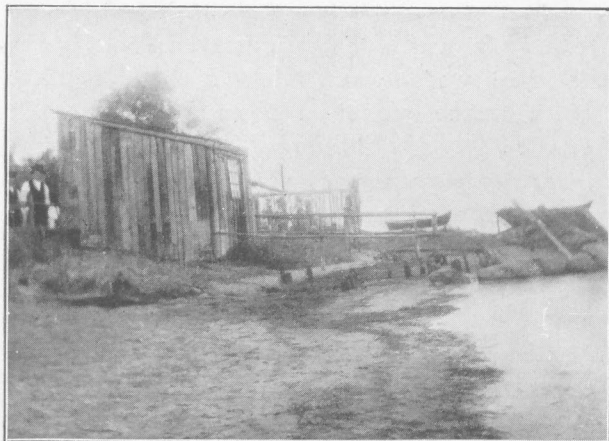
Typy rybackie z Jastarni (z teki p. H. Gallego).



Chlewik ze starych łódek w Jastarni.



Typy dziewcząt w Jastarni.



Chata rybacka nad morzem w Borze na Helu.



Ulica we wsi Gdyni.

(z teki p. H. Gallego.)

pod latarnią. Byliśmy głodni... Żona jednego z dozorców, stara, gruba Niemka nakarmiła nas jajkami i mlekiem. O godzinie 12-ej ruszyliśmy w stronę Strzelina przez Tupadły i Miruszyn.

Szliśmy wyboistą, okropną drogą. Z prawej strony jeszcze dość długo widzieliśmy łagodne błękity Baltyku, z lewej zielone doliny, rude ścierniska i liliowe pasy dalekich borów.

Schodziliśmy coraz niżej — i po pół godzinie drogi poraz ostatni obejrzeliliśmy się po za siebie na morze.

Na zakręcie, jak z pod ziemi wyrosła przed nami wieś Tupadły. Mijamy ją, nie zatrzymując się i schodzimy w sosnowy bór. W borze grzęźniemy w piasku, jak na Helu, wkrótce jednak wychodzimy na twardą drogę wysadzoną jarzębinami i po półgodzinnym marszu jesteśmy w niemieckim dziś majątku Miruszynie.

Zatrzymujemy się na chwilę w przydrożnej gospodzie kaszubskiej, od której do Łebcza, st. kolejki podjazdowej, prowadzi szosa.

— Już tylko cztery kilometry — mówi nam gospodarz.

Cztery kilometry! Dokąd wszędzie mówiono nam: mała mila, duża mila. I przekonaliśmy się, że mała mila nieraz była większa od dużej.

Z Łebcza jedziemy kolejką do Pucka.

O godzinie 4 wysiadamy w Pucku. Mamy przed sobą trzy godziny czasu.

Wprost z dworca idziemy do kościoła. Kościół gotycki z przepiękną kolumnadą wewnątrz. Wszędzie polskie napisy.

Z kościoła idziemy na rynek.

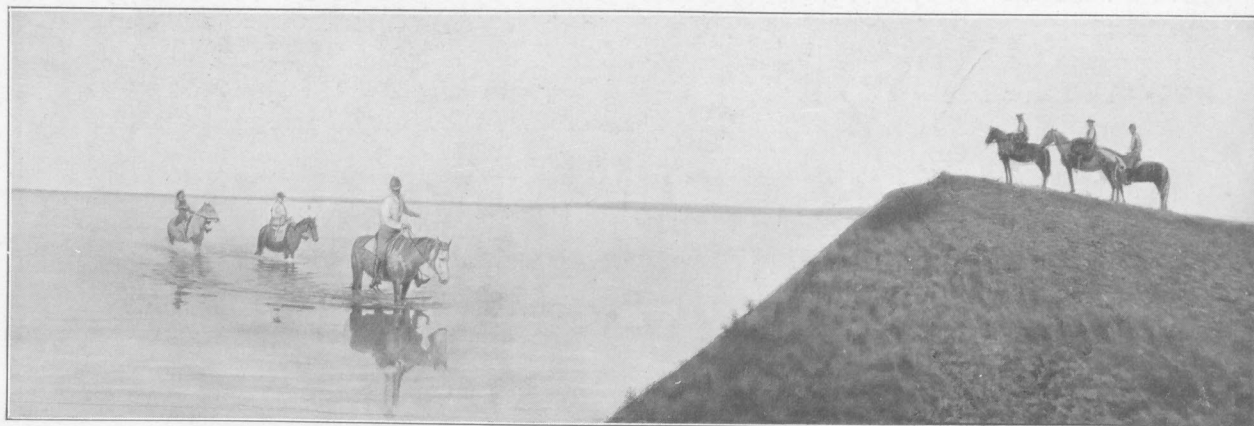
Rynek Pucki to przepiękny fragment architektoniczny z końca XVII w., w trzech miejscach tylko przerwany nowoczesnymi kamienicami bez żadnego stylu i sensu.

Potem na chwilę wstępujemy do kurortu. I tu rozumiemy po polsku, ale to już tylko dla tych marek, o które głównie im chodzi.

Późnym wieczorem stajemy w Sopotach. Pada ulewny deszcz.

— Jednak tych rybaków jest tak mało... zaczął kolega i nie skończył, bo rozdzielili nas przechodnie i deszcz padał.

EDWARD SŁOŃSKI.



„Z polskich Inflant“ (fot. amat. p. Römerówny).

W ŻNIWA DZIEŃ.

Zadzwoniły stalne kosy
Od rodzinnych miedz...
Pokłoniły mi się maki,
Pokłoniły w pas...

Hej... srebrzyste moje kłosa
Do was mi już biedz.
I na zbożne wypaść szlaki,
Żniwny witać czas...

Pokłoniły mi się maki
Pokłoniły w pas...

Kółka — koła — i koliska
Na zwierciadle wód,
Już wygładzon lazur fali,
A kamień na dnie...

Żal okrutny z piersi tryska,
Fale zetnie chłód,
I okuje w pancerz z stali
I tę toń — i mnie...

Już wygładzon lazur fali
A kamień na dnie...



„Polskie oczy“ (fot. amat. p. Jana Bułhaka).

Mignął, mi się błyskawicą
W zbożnej więzi sierp,
Zaleciały mnie piosenki,
Dzwoń mi pieśni... dzwoń...
Hej... żalością i tęsknicą
Serce moje cierp...
Jam dziś kamień samiułteki
W głębnią rzucon toń
Zaleciały mnie piosenki,
Dzwoń mi pieśni... dzwoń...

A tam dzwonią stalne kosy,
Piosnka leci z pól,
Hej, Wy lepsi — i Wy szczerzi,
Czas mi do Was — czas...
Zawołały mnie pól głosy,
Zawołał mnie ból,
Drżą pod płótnem wabne piersi
Bujnym wdziękiem kras...
Hej... Wy lepsi i wy szczerzi,
Czas mi do Was — czas...

BOLESNA STRATA.

Józef Kościelski jest tym czwartym z rzędu mężem, którego Wielkopolska straciła nazawsze.

Dwaj prałaci, Wawrzyniak i Jażdżewski, sędziwy parlamentarzysta, Henryk Szuman, jeden po drugim w krótkich odstępach schodzili do grobu, za nimi poszedł i Kościelski.

Gwiazdy świetne, choć nierównego blasku i nierównej wielkości.

Każdy z tych czterech reprezentował coś, sobie tylko właściwego.

Wszystkich zagrzewał jeden i ten sam duch gorącej miłości ojczyzny.

Kościelski był z pośród nich bardziej wszechstronny. Wykształcony, czytany, rozmówiany w literaturze i w poezji, pisywał liryki i dramaty.

Kto wie, możeby Kościelski nie jedną perłę dorzucił do skarbcza literatury ojczystej, gdyby się nie wciągnął w wir politycznego żywota, gdyby był nie wszedł na drogę ostrych kamieni i kolców.

Był wrażliwym, był poetą, pociągała go bezpośredniość chęć służenia ojczyźnie.

A właśnie, gdy Kościelski wystąpił w roli polityka, otwierała się dla Polaków zaboru pruskiego nowa era.

Na scenie dziejowej stanął naonczas młody Wilhelm II, który potrafił usunąć wszechpotężnego Bismarka i który obiecywał zmianę kierunku rządowego w stosunku do Polaków.

Kościelski spodziewał się wiele po tym błyskotliwym monarsze. Wierzył w zmianę kursu, wierzyli w nią i inni. Wilhelm II łudził i umiał łudzić czas jakiś Europę, nawet świat cały.

W r. 1881 Kościelski został mianowany członkiem pruskiej Izby Panów.

Wówczas to Wilhelm II zwrócił na niego szczególną uwagę. Podobał mu się ten ujmujący, dowcipny i oryginalny szlachcic polski. Zresztą miał

wtedy swoje plany, a nawet potrzebował Polaków dla ich urzeczywistnienia.

Kościelski stał się osobą najmilej widzianą na dworze; zdawało się, że w nim upatrzył sobie rzutki imperator, wykonawcę łagodzącej polityki względem Polaków w Księstwie.

Kościelski ze swej strony skupiał koło siebie ludzi podobnie jak i on wierzących w ów kurs nowy. Tworzyło się t. zw. stronnictwo dworskie, którego wpływom przypisać należy głosowanie Polaków w parlamencie Rzeszy za powiększeniem floty niemieckiej.

I oto, gdy nieomal równocześnie z nominacją ks. Stablewskiego na arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego oczekiwano realizacji tych nadziei, które napełniały dusze i serca zwolenników Kościelskiego, nastąpiła gwałtowna zmiana.

Czający się w głębinach mrocznych nacjonalizm pruski, wydarł się na powierzchnię, jako haka-tyzm. Pojednawcza polityka względem Polaków Wilhelma II trwała chwilę, chwilę też trwało na dworze pruskim znaczenie Kościelskiego.

Gwiazda jego zgasła po mowie, którą był wygłosił na zjeździe literatów i dziennikarzy polskich we Lwowie. Mowa była gorąca, wyraziła się w niej dusza kraj swój miłującego Polaka, nie zawierała jednak nic takiego, co by można było poczytać za

nielojalność. A tymczasem wrogowie Kościelskiego przedstawili ją cesarzowi niemal jako zdradę.

Mowa ta była tylko pretekstem do usunięcia już niepotrzebnego Polaka, któremu zazdroszczono w sferach dworskich łaski cesarskiej.

Skończył się polityk czynny i wpływowy w Berlinie, a zaczął się w Poznaniu energiczny działacz społeczny. Zamożny, a nawet bogaty, bardziej niż kto inny niezależny w mowie i czynie, umiał zogniskować sfery miejskie Poznania i skierować je w stronę intensywniejszego rozwoju społecznego i kulturalnego. W każdym dobrem poczynaniu brał



Ś. p. Józef Kościelski.

udział, nie cofając się przed ofiarami; jakkolwiek uległ wielkiemu rozczarowaniu, nie tracił jednak nadziei, że nastąpią lepsze czasy.

Po upadku wpływów i znaczenia Kościelskiego żywiły niekrytyczne wzięły go za cel swoich pocisków; jemu i partii „dworskiej“ przypisywano dążenia nie dające się pogodzić z godnością narodową. Żywiły te, znające się na wartości hasła, a nie czynów realnych, robiły wszystko, by ludzi rozumnych i najlepszej woli — a do nich należał Kościelski — zohydzić.

Kampania była okrutna i długa, niejednego, mniej zahartowanego, aniżeli Kościelski, mogła wytrącić z równowagi i zniewolić do poniesienia pełnienia obowiązku obywatelskiego. Cóż? Posiadał wielkopańską rezydencję w Miłosławiu, mógł sobie z niej uczynić Sybaris, gdyż miał na to, a jednak nie chciał... sumienie nakazywało mu wytrwać na zagrożonej placówce.

Kochał nie siebie, lecz ojczyznę.

Myśl polityczna Kościelskiego miała swoje głębokie uzasadnienie. On i jego zwolennicy wiedzieli, że społeczeństwo polskie w zaborze Pruskim nie może zajmować stanowiska niepojednawczego. Choćby

dla tej prostej przyczyny, iż sama opozycja może je tylko narazić na zmarnowanie sił narodowych i zahamować możliwy w pewnych warunkach rozwój społeczny.

Współzycie było wskazane na zasadach wzajemnych ustępstw. Idei Kościelskiego nie chciano w sferach rządowych zrozumieć: hakatyzm szalał. Wilhelm II płynął za jego prądem. I dopiero po latach przekonał się, że nie on tym prądem kierował, lecz hakatyści, którzy doprowadzili politykę pruską względem Polaków do absurdu.

Polacy nie zostali złamani. Oparli się, a w owej walce obronnej wziął udział Kościelski, płacąc w ten sposób społeczeństwu ceną swej kompromisowej, „dworskiej“ polityki, albo jak mówiono, swych złudzeń.

Obecnie rząd pruski jeszcze nie poniechał walki z polskością na kresach wschodnich państwa, ale już się wyczuwa jej osłabienie. Może nastąpić i niewątpliwie nastąpi wkrótce zwrot, bo tego się domaga interes państwowy.

A gdy ten zwrot nastąpi, brak będzie Kościelskiego, człowieka, który bodaj, że najlepiej moment dziejowy umiałby z korzyścią dla ojczyzny wyzyskać.

A.M.

NASZE DWORY.



Ożenin, na Wołyniu, własność p. G. Jełowickiego.



Pałac w Koropcu, w Galicji (fot. amat. hr. Jadwigi Badeniewej).

KOROPIEC.

Konie zwalniają kroku za Niżniowem, stąpając wolno, ostrożnie przez długi most, rzucony na Dniestr. Przed ciekawem okiem obcego w tych stronach rozwija się wspaniały krajobraz. Łańcuch wzgórz przerywany tu i owdzie głębokimi parowami, zasłania przepyszną wstęgę Dniestru, przebłyskującą tylko od czasu do czasu, mieniającą się w słońcu blaskami stopionego srebra. Jasnozielone, liściaste lasy szumią z cicha na wzgórzach, na dole, na polach migoczą czerwone i pomarańczowe spódnice Rusinek, pochylonych nad łanem, pachnącym oddechem wiosny.

Droga — biała, czysta, doskonale utrzymana szosa — biegnie wę-



Odpoczynek w polu.



Koropiec. Dniestr.
(fot. amat. hr. Jadwigi Badeniewej).

żykowato pomiędzy wzgórzami, korzystając z każdej niziny, wije

się na prawo, na lewo, z góry i pod górę. Wiosek nie widać prawie wcale. Zakrywają je wzgórza.

Rozglądasz się dokoła, szukasz Koropca. Szu-

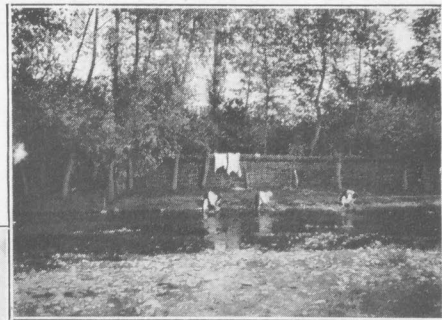
kasz go długo, całą godzinę. Nareszcie. Tam, gdzieś daleko, u podnóża jakiegoś wzgórza, migoczą białe ściany licznych domów, a po nad nimi, po nad tłumem mieszkań ludzkich błyszczą w purpurowych odblaskach zachodzącego słońca krzyże na wieżach kościoła. Zdaleka widać dom Boży, rzuca się on pierwszy w oczy i dziwi wspaniałym wyglądem. Nie wiele takich kościołów spotyka się po wsiach w Królestwie. Zbudowany na pagórku, panującym nad całą osadą, robi wrażenie obwarowanych świątyń średniowiecznych.

Nietylko on zadziwia obcego w tych stronach.

Wjeżdżasz do wsi, a zdaje ci się, że jesteś w mieście. Sklepy tu liczne, domy czyste, murywane, szkoła, jakiejby się żadne średnie miasto nie powstydziło, plac, przypominający rynek i tłumy ludzi, nieznane zwykle wsiom. Sześć tysięcy głów, Polaków i Rusinów, gnieździ się w tej rezydencji hr. Stanisława Henryka Badeniego, najstarszego syna zasłużonego dobrze krajowi marszałka Galicji.

Ale oto jego dom — pałac.

Rozsiadł się duży, masywny, w samym środku rozległego parku. Olbrzymie stare, dawne czasy pamiętające drzewaszumia mu cichą pieśń wieczorną, a tuż u jego



We wsi.

stóp ku Dniestrowi bez wytchnienia tocząca się rzeka, Koropiec, kołysze go monotonnym szepczeniem do snu.

Czysto dokoła domu właściciela Koropca. Trawniki ogromnego parku

wystrzyżone, wygracowane tak starannie, iż daremniebyś szukał niepotrzebnego zielska. Widać tu rękę systematyczną, lubiącą ład i nie pozbawioną smaku artystycznego. Tą ręką systematyczną, pracowitą, to oko, czuwające nad dużym obszarem (9,000 morgów ziemi pierwszorzędnych, buraczanych, pszennych, lasów szpilkowych, grabowych, dębowych — obejmuje Koropiec) widać wszędzie, dokoła domu, we wsi, w doskonale utrzymanych

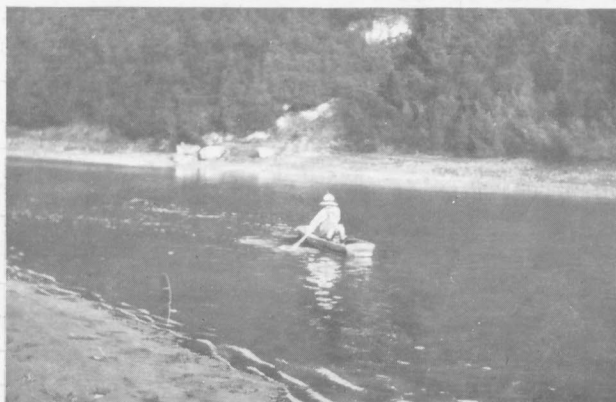


Stanisław Henryk hr. Badeni z bratem swoim księdzem Badenim.

zabudowaniach gospodarczych, w polu, w lasach, w gorzelniach, w plantacjach chmielu. Rządny gospodarz siedzi na tym wdzięcznym, w malownicze ramy ujętym szmacie ziemi. Tacy nie oddają swego dziedzictwa w obce ręce.

Ale nie tylko o sobie pamięta hr. Stanisław Henryk Badeni. Świadectwem tego wymownem: ochronka, założona jego sumptem w r. 1905, otwarta w r. 1906, w której Siostry Służebniczki uczą około 60 dzieci elementarnych wiadomości i koszykarstwa, posilając je zimą ciepłą strawą, pielęgnując je w razie choroby (ambulatorjum) — czytelnia Związku Katolickiego Społecznego, gdzie odbywają się odczyty i obchody narodowe. Świadectwem także, że hr. Badeni rozumie doskonale obowiązki głośnego, zasłużonego w kraju nazwiska, opromienionego blaskiem owocnej służby obywatelskiej i narodowej — jego bardzo żywy, czynny udział w ruchu katolickim Galicji. On to jest nie tylko prezesem, ale i duszą lwowskiego Towarzystwa imienia Piotra Skargi, które postanowiło przeciwdziałać „dobrą prasą“ potokowi szkodliwej, wywrotowej literatury, jaka od pewnego czasu zalewa swojemi mętami cały nasz kraj; on jest wydawcą tygodnika p. t. „Kronika Powszechna“, przeznaczanego dla polskiej

Pałac w Koropcu, w Galicji.
Most na rzece Koropiec.
Hr. Stanisław Badeni z ojcem swoim marszałkiem Badenim w bramie folwarcznej.



Bajdak na Dniestrze.

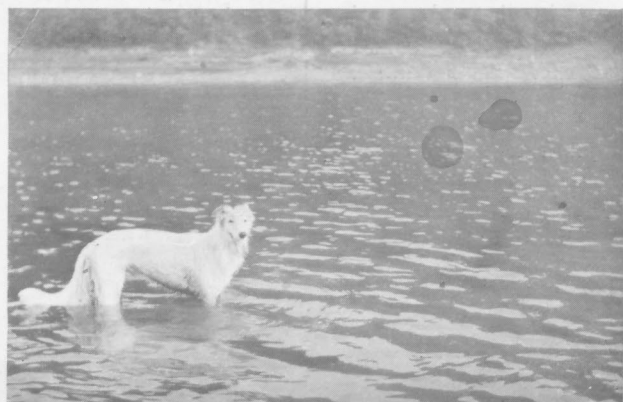


Chart „Sasza“ w Dniestrze.

(fot. amat. hr. Jadwigi Badeniowej).

inteligencji katolickiej. Obie te godności, prezesa i wydawcy, połączone są dotąd ze znacznymi ofiarami pieniężnymi, które hr. Badeni ponosi z całą swobodą wrodzonej hojności na cele publiczne i ucziwe. Szczęśliwem zrządzeniem Opatrzności stanęła przy jego boku towarzyszka, pełna cnót polskiej pani dawnego pokroju. Hrabina Jadwiga Badeniowa, ze słynnego w naszych dziejach domu hr. Platerów, jest mimo lat młodych typem polskiej kobiety w najlepszym stylu — katoliczki, patrijotki, obywatelki. Bierze ona żywy udział w sprawach kraju, obdarzona niepospolitą inteligencją, orjentuje się szybko, łatwo w każdym położeniu, swobodna w stosunkach z ludźmi ową naturalną swobodą kobiety rasy zjednywa sobie nawet serca zamknięte. Trzeba ją widzieć w otoczeniu dziatwy wiejskiej, garnącej się do jej życzliwych, dobroczynnych rąk bez zwykłej obawy i podejrzliwości chłopskiej z całą ufnością szczerego zaufania, trzeba na nią patrzeć, gdy otoczona mnóstwem drobiazgu, umie popieścić każdą główkę i każdemu dziecku coś miłego powiedzieć, lub gdy usługuje sama temu małemu, niesfornemu światkowi, aby zrozumieć dla czego do niej dziatwa wiejska łągnie, dlaczego się jej nie boi, lecz ją serdecznie miłuje.

Wielka dobroć, łączona z wielką pobożnością, są rysami znamienymi tej młodej a już tak poważnie umiejącej myśleć pani.

Dawne, dziś już gasnące tradycje domów polskich, wskrzesiła hr. Badeniowa w swoim domu. Codziennie, wieczorem, w kaplicy pałacowej zbiera się dokoła niej cała służba, dziękując Bogu modlitwą i pieśnią za dzień dokonany i rozpamiętywa pod kierunkiem pani nad tego ubiegłego dnia myślami i czynami.

Na skraju parku stoi duży dom murowany, a w tym domu odbywają się corocznie rekolekcje dla nauczycielek powiatu buczackiego.

Nie wiele jest już dziś w Polsce takich na-

wskroś katolickich domów, jak Koropiec hr. Badenich.

Stare to gniazdo, ten Koropiec, powiatu buczackiego. Parafię fundował tu król Władysław Jagiełło, wielki, jak wiadomo, myśliwy. Musiał on tu kiedyś polować, na chórze bowiem w kościele koropieckim znajdują się dotąd rogi, mające pochodzić od jelenia, zabitego przez pogromcę Krzyżaków.

Był tu kiedyś raj dla myśliwych. Kępki dębów, rozrzucone dotąd w polach na dalekiej przestrzeni aż het pod Ottynię, są niezawodnie resztkami olbrzymiej dąbrowy, która pokrywała zachodnie kresy Podola galicyjskiego. Na grubym zwierzu tu nie zbywało. Lasy kropowieckie obfitują dotąd w dziki i zwabiają w porze zimowej do Koropca znanych myśliwych Galicji.

Koropiec, dziś rozległa wieś, był niegdyś, za czasów polskich, większym miastem. Jeszcze w r. 1578 nazywają go dokumenty kanclerskie *oppidum*.

Obecny, wspaniały kościół stoi dopiero lat 80. Zbudował go poprzedni właściciel Koropca Teofil Mysłowski, a odnowił ojciec obecnego właściciela, marszałek Galicji.

Nad duszami koropieckimi czuwa obecnie ksiądz kanonik Michał Paprocki, kapłan, oddany całą duszą swoim obowiązkom duszpasterskim. Wystarczy posłuchać, jak przemawia ze stopni ołtarza do gromady dzieci, przystępujących do pierwszej komunii św., jak umie do tych dziewiczych dusz i serc przemawiać z całą żywą plastyką rozumnego i serdecznego słowa, by zrozumieć doniosłość i wpływ odczutego posłannictwa kapłańskiego.

Z miłym, rozrzucającym serce uczuciem pełnego zadowolenia, zkojącym wrażeniem kilku dni przebytych w towarzy-

stwie dobrych, szlachetnych dusz, opuszcza się gościnnie Koropiec hr. Badenich, szczerze polski i katolicki dom, rzucony na barwne tło kresów zachodnich Podola galicyjskiego.

HABDANK.



Typ dziewczyny wiejskiej w Koropcu
(fot. amat. hr. Jadwigi Badeniowej).



Grupa nauczycielek powiatu Buczackiego na rekolekcjach
w Koropcu (fot. amat. hr. Jadwigi Badeniowej).

Z ŻYCIA TOWARZYSKIEGO.



Orszak weselny z zaślubin p. Tekli Morawskiej z p. Edwardem Potworowskim.

Dnia 8 czerwca r. b. został zawarty w Jurkowie w Poznańskim związek małżeński między p. Edwardem Potworowskim z Goli, synem ś. p. Gustawa i Franciszki z Kurnatowskich, a p. Tęklą Morawską, córką ś. p. Stanisława i Teresy Morawskich z Jurkowa. Obrzędu ślubnego dopełnił najprzewielebniejszy ksiądz biskup Likowski w asyście księży, przyjaciół łączących się rodzin, w pięknie przybranej kaplicy Jurkowskiej, zbudowanej przez ojca panny młodej. Do ołtarza prowadziły pana młodego pp. Franciszka Potworowska i Józefa Morawska, pannę młodą zaś pp. Kajetan Morawski i Adolf hr. Bniński. Przed zamianieniem obrączek przemówił ksiądz Biskup Likowski, wskazując w krótkich a podniosłych słowach na obowiązki i cele małżeństwa chrześcijańskiego. Po dopełnieniu aktu ślubnego podejmowała pani Stanisławowa Morawska, z tradycyjną gościnnością, w starym dworze jurkowskim liczne zebrane grono krewnych i przyjaciół. Wśród obecnych zauważyliśmy, prócz członków rodów Potworowskich i Morawskich sędziwego marszałka Stanisława Kurnatowskiego z synem i synową, pana Kazimierza Chłapowskiego z synem, szambelana Romana Komierowskiego z rodziną, prezesa dr. Tadeusza Ja-

kowskiego, szambelana hrabiego Marcelego Czarnckiego, ks. kanonika Meisnera, dalej przedstawiciele rodzin: hr. Bnińskich, Horwattów, Janta-Półczyńskich, Moszczeńskich, hr. Broël-Platerów, Ślaskich, Getzen-dorf-Grabowskich, hr. Czarnckich, Bukowieckich, hr. Raczyńskich, Lasockich, Lonowów i wielu innych. W starym parku jurkowskim zastawiono stoły pod gustownie urządzone namiotem. Zasiadło do nich z górą 80 osób. Jasne stroje pań tworzyły barwne plamy na tle zieleności drzew i murawy. Szereg toastów rozpoczęło przemówienie księdza biskupa, który podkreślając cnoty i zasługi przodków obojga państwa młodych i wynikające stąd dla nich obowiązki, złożył w imieniu zebranych na ich ręce gorące życzenia.

Bezpośrednio po śniadaniu wyruszyli nowożeńcy, żegnani przez grono gości, jakoteż lud miejscowy i deputacje z majątków pana młodego, w podróż poślubną. Telegramów nadeszło z wszystkich stron Polski i zagranicy około 600; między innymi liczne życzenia od towarzystw robotniczych i innych instytucji społecznych, jako dowód uznania dla pełnej i owocnej pracy pana młodego na tym polu.



Na Prypeci (fot. amat. p. A. Orda).

Z KRAJU BUDRYSÓW.

(Ciąg dalszy).

Z Mińska do Słuczyny jedzie się „na Stare Drogi“. Taki już obyczaj. Obserwuje go ten, co lubi różnaitość w komunikacji lądowej. Koleją, samochodem, końmi danem mu jest przybyć na miejsce przeznaczeń. Z Mińska wyjeżdża się wieczorem. Ludzie rzeczy świadomi ładują zawczasu siebie i manatki swoje do specjalnego wagonu „bez przesiadania“, którym jest zwykle ostatni i układają się do snu, zdając resztę na losy.

I czynią słusznie, gdyż nigdy bardziej jak tu cierpliwość, nie jest człowiekowi potrzebną. Wagon uczepiony na końcu pociągu miota się w pędzie jak ogon węża. To daje podróżnemu cały szereg złudzeń o charakterze mniej lub więcej egzotycznym,

ale złudzenia te mają wiek motyli; trwają zaledwie kilka godzin.

Na stacji Osipowicze vel Józefowicze wagon odczepiony czeka świtu. Zamknięci w nim podróżni snią słodko i otulają się szczelnie, bo chłód jest dokliwy. Tymczasem pierwszy brzask bije w szyby wagonu. Słychać szcęk łańcuchów, ciężkie sapanie lokomotywy — wyruszamy.

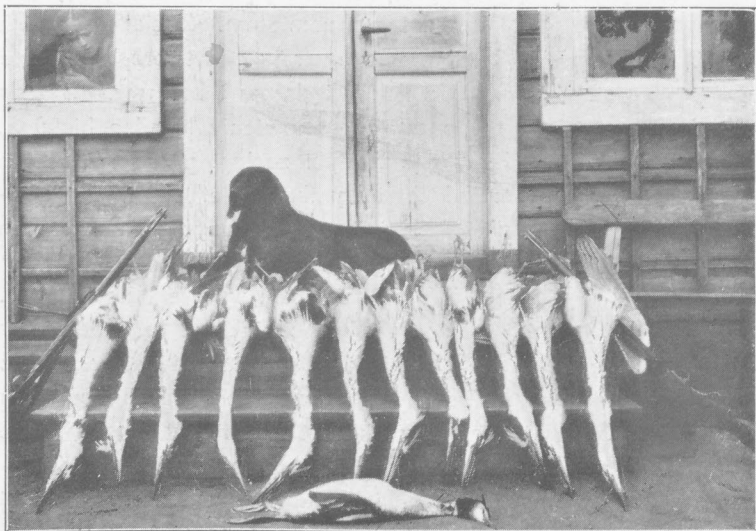
Już po śnie, albowiem na świecie czyni się zrazu modro, potem różowo. Od zapotniałych szyb bije dziwna świeżość. Pod złocistym niebem jutrzienki gęsta zieloność skupia się w nieprzerwany wał, ciągnie się pasmem zbitym, jak wstęga, nabijana chryzolitami. I te dwa tony; różowo-złoty na niebie, szmaragdowy na ziemi, odbijają się we mgłę

szyby jak ułamek wypłowiałego witrażu. Spuszczone okno wyjaśnia tę grę barw. Jedziemy wśród lasów, tor kolejowy jest jak szyb, drążony w ich głębi, wżera się w ich żywe, sokami pulsujące ciało, zębem szyn, pazurem drutów telefonicznych, zjadliwym żądłem dymiącego pociągu.

Ani śladu ziemi ornej. Las narzuca się tu oku i wyobraźni z despotyzmem ogromu. Niema w nim jednak nic żywiołowego. Imponuje przestrzenią, ale nie zaciekawia. Jest na to zbyt jednostajny, a przytem zanadto eksploatowany, więc zrazu budzi współczucie a wreszcie nuży. Coraz mniej w nim pięknych drzew, coraz więcej „drzewa“; obalonych moczary, porąbanych trupów, tułowi, beczelnie obłupanych z kory, pni, pozbawionych gałęzi i bezpańskich konarów, wałęsających się po ziemi, jak napół obumarłe szkielety w łachmanach liści zeschniętych i bez życia. Smutne pobojowisko!

Zdaje się, że i odnoga kolei specjalnie była przeprowadzona po to, aby właścicielom ułatwić zbyt, a lasom ująć uroku. Okazuje się, że nasz pociąg posiada zaledwie parę wagonów osobowych; reszta to platformy, na których spoczywają w przykładnej zgodzie pnie, belki i tramy najrozmaitszego autoramentu. Na każdej stacji tartak; wszędzie pełno wiórów, trzasek, płatów kory, sągów wyborowego paliwa. Najmniejszy okrzosek płacze brunatnymi łzami żywicy...

Nawet lokomotywa opalana drzewem wólczy za sobą spiętrzony stos złocistych polan, błyszczących w słońcu, jak kość polerowana. Zewsząd pachnie smołą, igliwem, mchem, łuczycwem,



Czaple (fot. amat. p. W. Wagnera).



Przed dworem w Glince, w dobrach pp. Virionów
(fot. amat. p. Virionowej).

zdeptaną zielonością, jałowcem, i tym specjalnym aromatem zroszonej roślinności, który unosi się ponad lasem, jak dym kadzidlany, upaja i odurza.

Słońce wzbija się w górę i zapalając tęczowe iskry w zaroślach, nagrzewa tak szybko chłodne mchy, że wkrótce zaczyna bić od nich gorąco i upalny zaduch. Wówczas zatracą się świadomość szczegółów. Łas, słońce pałające ponad nim, wierzchołki drzew pławiące się w błękitach, fale płynnych szmaragdów i opalów, przelewające się przez gęstwinę, przekopy i rozdoły, jak misy po brzegi nalane gorącą zielonością traw, nanizane koralowemi sznurkami szczawiów polnych, kwiaty leśne, bujne i soczyste, których tu nikt nie zrywa, mchy, rozgorzałe pod jałowcami i ten złoty poranek, dziwnie jasny i uroczysty, — wszystko zlewa się w jedno kolisko światła i kolorów.

Chwytasz gorączkowo piersiami powietrze. Tyśiące plam barwnych i lotnych, jak motyle wiruje ci przed oczami, a w każdym rowie, na każdym liściu, na najmniejszym splachciu murawy iskrzy się słońce.

* * *

W „Starych Dorohach“ pierwszy etap podróży. Mała i brudna stacyjka pełna słońca i podróżnych, na których gapią się obrosłe i trochę ironiczne istoty w łapciach. Ktoś krzyczy, ktoś klnie po białorusku, ale większość prostuje kości i popija z rezygnacją herbatę, która nawet na tej podrzędnej stacyjce, jak zresztą wszędzie na Litwie, jest nadspodziewanie dobra.

Wszyscy czekają na samochód, kursujący stale po szosie od Starych Dróg do Lachowicz. Jedyna ta w swoim rodzaju Arka Noego imponuje rozmia-rami i podziałem na 3 klasy, jak w pociągu. Na

dole, za szkłem jest duszno i pachnie benzyna, ale ławki są bogato wysłane pluszem. Tu mieszczą się osoby „delikatne“.

Na górnej platformie, która się w wielkich grodach Zachodu nazywa „imperial“, panuje wicher, tłoczą się pakunki i ci, którzy ze względów ekonomicznych i społecznych nie obawiają się wichru i drzew przydrożnych, łakomie wyciągających gałęzie po cudze kapelusze.

Kolejno, po żelaznej drabince wydostają się na wierzch żydzi w kuszach marynarkach, (bo tu chałatów nikt nie nosi) z kojcami pełnymi piszczących kurcząt, chłopci białoruscy w wielkich czapach, jak talerze, szlachcic zaściankowy w dostatniej burce i szlachcianka, kokieteryjnie strzelająca oczami z pośród białych płócien, chroniących zazdrośnie jej twarz od słońca i kurzu. Garstka niewielka, w której przeważają tony szare, siwe i brunatne, nic kolorowego, nic, coby biło w oczy łuną barw i grało w słońcu jak tęcza.

Samochód zaczyna drgać na potężnych osiach i wreszcie, jakby podrzucony nagłym wybuchem, rusza. Przyznać się godzi, że, pominąwszy ciężły brzęk szyb i zaduch benzyny, pobyt w tej oszklonej zewsząd jak oranżerja landarze jest zgoła przy-



Nie tak in illo tempore bywało.
(z teki p. K. Dziekońskiego).

jemny, bo daje cały szereg wrażeń, mile łechcących podniebienie ludzkiego samolubstwa.

Walisz środkiem szosy, jak w dym, — wszyscy ci z uszanowaniem z drogi ustępują, choćby to była czwórka najognistszych kasztanów. Stajesz się mimowolnie „gwoździem“ tragedji przeróżnych. Widzisz osłupienie na twarzach ludzkich i grozę w końskich obliczach; jakies dere-sze ponoszą, jakiś kary rumak toczy krwawemi ślepiami, staje dęba i kruszy tęgie hołoble, jak najcieńszą słomkę. Czyjaś kałamazka wy-wraca się do rowu razem z cielęciami, masłem, prosiętami, hładyszą śmietany i szlachcianką spowitą w białe chusty, jak be-duinka. Przejorniejsi sami zjeżdżają do rowu, albo nakrywają koniom głowy płachtą, aby nie widziały „awtomobyła“.

A propos tego opowiadają fakt następujący. Był sobie dziad i baba i jechali po szosie. Zdale sły-szczać charakterystyczny huk samochodu. „Gudit!“ — mówi dziad do baby, — zakrywaj oczy!“ — Baba w prostocie du-cha własne źre-nice dłonią nakry-ła, sądząc snąc, że widok potwora rozum jej odbie-rze. Omyliła się. Rozum nietknięty został na dawnym miejscu, ale babę, dziada i kałama-szkę konie po-niosły.

A było czego się zląknąć. Smok ten, szeroko roz-party na czte-rech kołach, po-tężnych, jak koła młyńskie, żółto pomalowany, błyszczący zdaleka

gładką powierzchnią szyb, okuć i poręczy, robi wra-żenie rozdrażnionego bąka, który opił się krwi byd-łowej, ocięzał i, wlokąc przy ziemi obwisłe skrzydła, huczy, sapie, brzęczy i wzdyma za sobą tuman kurzu.

Naogół jednak ludzie łatwiej oswoili się z przy-błądą od zwierząt i ugłaskali potwora. Na przodzie omnibusu w oddzielnej klatce oszklonej siedzi główny palacz z dwoma pomocnikami. Jeden z nich daje

sygnały ostrzegawcze trąbką, drugi, mały chłopak w kurtce poplamio-nej benzyną i smarami, w międzynarodowej cza-peczce, która podkreśla jeszcze bardziej jego typ miejscowego spryciarza, co chwila otwiera drzwi, w pełnym biegu wydo-staje się na dźwiób samo-chodu, coś nalewa, coś przykręca, znika nagle i rumiany od wichru, niewiadomym sposobem

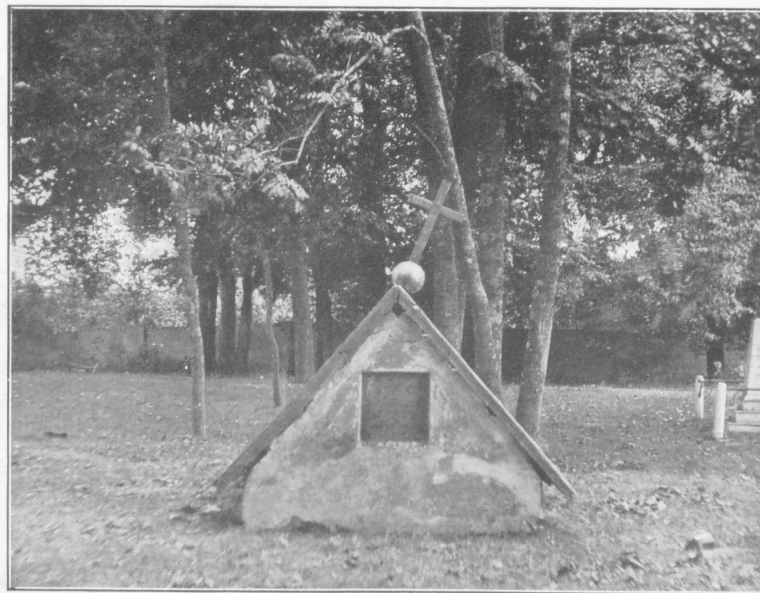
wraca tą samą drogą ze zwinnością wiewiórki, z uśmiechem rozbawionego kociaka. Widać, że to, co dla kogoś może być kwestją życia, dla niego jest igraszką i ta świadomość swej zręczności i swoich muskułów czyni z tego małego łobuza jednostkę ze wszech miar interesującą, szczególnie w ob-liczu powolności białorusinów.

Tymczasem przed nami rozwija się widok za widokiem szybko, jak w kinematografie. Okolice płaska, żyzna, z pewną staran-nością uprawna, ale lasów coraz mniej. Szosa, wy-prężona jak stru-na, rzadko kiedy wspina się na pagórki lub spływa w doliny. Gładka i prosta, wibruje w słońcu, nurzy jednostajną biało-ścią, wreszcie usypia.

Słońce praży coraz mocniej, a na krańcach widnokre-gu groma-dzą się zbite wały spienionych obło-ków. W chwili, kiedy szosa zmienia się w bruk, a samochód za-czyną podskakiwać na kamieniach Słucka, całe niebo jest zasnute mleczną oponą i wieje od niego chłód, choć to dopiero południe.



Kubaki, w Grodzieńskiem w. p. Zofji z Włodków Świećickiej
(fot. amat. K. Dziekońskiego).



Grób poety Franciszka Karpińskiego w Lyskowie, w Grodzieńskiem
(fot. amat. K. Dziekońskiego).



Lopuchy, w Słuckiem. Odpoczynek południowy
(fot. amat. p. T. Narkiewicz-Jodko).

— Pietrok, a! Pietrok, co ty się wozisz z tym czemodanem?! — rozlega się piskliwy głos pani Rubinowej.

Starcza, zawięta twarz chwieje się uprzejmie pod czepczkiem z czarnej koronki. Godna ta osoba, dziwnie harmonizuje ze swem otoczeniem. Kiedy skurczona, nikła, drobna przechyla się przez balustradę drewnianego ganeczka, aby powitać przybyłych, wydaje się sama jednym z poczeriałych ornamentów swego „hotelu“.

Nic to, że „hotel“ parterowy i posiada od frontu jedynie dwa paradne numery, podczas, gdy reszta ginie w labirynie coraz to niższych bokówek, alkierzy, przybudówek i sioneczek. Takie są wszystkie hotele słuckie. Wprawdzie w tym roku wybudowano wspa-

niały „Bristol“ murowany, ale pani Rubinowa wita tę nowość sceptycznie. Stary, wypróbowany budulec, patrzy z pogardą na kruchą cegłę.

— Niech budują, — powiada, — kto tam będzie mieszkał? Tam niedobrze, tam „syrość“, — dodaje poufnie.

O, bo pani Rubinowa ma ministerjalny łeb. Pod upięciem z czarnej koronki, kryje interesy całego niemal powiatu. Niepozorna ta niewiasta wysyła i przyjmuje telegramy, nie gardząc jednak pocztą pantoflową, załatwia sprawy swoje i cudze, godzi zwaśnionych, uprawia dyplomację na wielką skalę i wie wszystko.

Wie, kto lubi rybę po żydowsku, a kto nie znosi arbuza, do kogo można mówić poprostu i szczerze, a kogo trzeba zająć zniecka a podstępnie.

Pamięta doskonale, kto kogo rodzi, kto się z kim ożenił, a nawet, kto się z kim ma ożenić. Wie, kto jest „prawdziwy pan“, a kto jest tylko „ee! taki sobie“.

Z tajemniczą miną udziela wiadomości, że w Wańkowszczyźnie będzie bal, że panienka z Terespoła ślicznie wyrosła, że w Kurchanach straszło, i że Andrzej z Rymia nigdy się nie da wyprzedzić nieświeskim stangretom.

Wypowiedziawszy to wszystko, Rubinowa znika i słychać tylko, jak z pod ziemi, jej skrzeczący głos.

— Pietrok! aa! Pietrok! co ty się wozisz z tym czemodanem? Stupaj do klubu po obiad; widzisz, państwo się śpieszą!

(c. d. n.)

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW.

ZASYPIA CIEMNY BÓR...

Zasypia ciemny bór. Czerwieńią zórz oblana
Na skraju, gdzie dęb wznosi wyniosłe konary,
Rozciąga się samotna cienista polana.

Z łąk dalekich, wilgotnych już płyną opary...
Zapadła puszcza ustroni, dzisiaj zapomniana!
Niegdyś wrzała tu bitwa i grały fanfary,
Tutaj, przygarść odważnych ogniem nie-

wstrzymana

Zwyciężyła pod hasłem ojczyzny i wiary.

Dzisiaj wieczór jak wtedy, tylko pieśń

przebrzmiała!

Pieśń radosna zwycięstwa, którą puszcza

drżała,

I runęło niejedno już drzewo zrąbane...

Starych dębów gałęzie, zimny wiatr ugina.

Kiedyż ziemi tej wróci czas chwały godzina!

I dni lepszej przyszłości czy będą jej dane?

MARYA C.



Po polowaniu w Wielkich Solecznikach, w Wileńskiem.

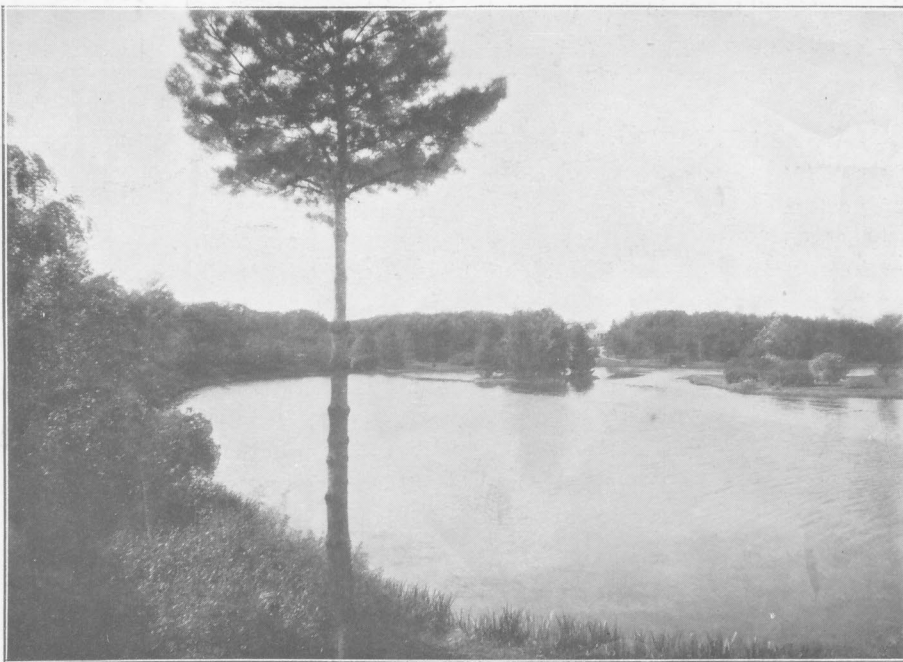
MIŁOŚNICY ZWIERZĄT.

Zamiłowanie i gusta podlegają kaprysom mody; kochali się ongi nasi pradziadowie w ścigłych rumakach wschodniej krwi, łowczych chartach i lotnych sokołach, — lubują się dziś ich prawnuki w kabaretach, kinematografach i skatingach. A jednak wystarczy wyruszyć z granic Kongresówki i zapuścić się, czy to w bardziej lesiste strony Litwy i Białorusi, czy też w urodzajne niwy Ukrainy i Podola, aby przekonać się, że tradycje pana Paska nie wygasły całkowicie wśród przedstawicieli naszego ziemiaństwa. Po za trofeami rogów i kłów, świadczących, czem były dawne nasze polowania, ciekawy gość w niejednym starym dworze zobaczy sieci do obkładania kilkuwiorstowych ostępów puszczy, a na niejednym podwórku spotka swobodnie chodzące takie okazy zwierząt, w których, zbrojny w najlepszą „perdyjkę,” nie radby się spotkać, na najwspólniejszej strefie.

Taką ciekawą kolekcję okazów naszej fauny miałem sposobność nieraz obserwować w Lipkach, na Ukrainie, i wyniesionemi stamtąd wrażeniami pragnąłbym podzielić się z czytelnikami „Wsi ilustrowanej“.

Kolekcja Lipkowska jest bardzo różnorodną, składa się bowiem z 3-ch żórawi, orła, jastrzębia, borsuka, 14 lisów, tyłuż sarni i, na ozdobę całego zbioru, z przepysznego niedźwiedzia, zwanego Misiem.

Z wyjątkiem orła, niedawno schwytanego i jeszcze dosyć dzikiego, wszystkie te zwierzęta korzystają z względnej swobody i są tak oswojone, że na głos właściciela przychodzą do ręki.



Fragment z Lippek.

Żurawie noc spędzają w stajni, gdzie mają osobny boks, a od rana spacerują po trawnikach przed domem, zaglądając w okna, czy właściciel już wstał i rychło przyniesie im śniadanie, składające się z bułki i pszenicy. — Z pomiędzy żórawi jeden stepowy, jest dużo niższy od swoich błotnych kolegów, przewyższa ich jednak fantazją i animuszem. Niech tylko kto obcy przechodzi koło ganku i spróbuje żórawia pogłaskać, otrzyma z pewnością tak silne uderzenie dziobem, że odejdzie mu ochota od podobnych eksperymentów. Starszy z błotnych i stepowy żóraw są z sobą w wielkiej przyjaźni, wciąż chodzą razem, zatrzymują się i widocznie nader ożywione prowadzą rozmowy. Różnica we wzroście ich jest tak znaczna, że mimowoli przypominają Podbipiętę i Wołodujowskiego. Trzeci żóraw, później przybyły, nie jest dopuszczany przez kolegów do poufałości i zwykle chodzi o kilka kroków z tyłu.

Lisy mają obszerne podwórko, wyłożone ceglami, żeby nie robiły nor i opasane sześćościanowym murem, co nie przeszkadza jednak, że, od czasu do czasu, ten lub ów z zagrody wyskoczy. W początkach łapano je i zapędzano napowrót, po pewnym jednak czasie pokazało się, że każdy z uciekinierów prędko uprzykrzył sobie swobodę i zatęsknił do miłego towarzystwa i dobrego stołu.

Pozwalają im więc obecnie pobujać, a powracającym gościnnie drzwi od zagrody otwierają. W ciągu dnia lisy śpią zwykle na słońcu i dopiero pod wieczór stają się ogromnie ruchliwe. Na głos właściciela zbierają się wszystkie, wchodzą mu na kolana, wskakują na ramiona i wydobywają z kieszeni, przyniesione przysmaki. Są w wielkiej przyjaźni z tatsikami „Ursikiem“ i „Karasiem“ i wyprawiają z nimi harce i gonitwy.

Faworytem jednak właściciela i najbardziej oswojonym ze wszystkich zwierząt, jest niewątpliwie Miś. Przywieziony w stosunkowo młodym wieku, doszedł do bardzo okazałych rozmiarów i waży przeszło 600 funtów. Tak piękny wygląd ma jednak, jak wszystko na świecie, swoje słabe strony. Choć Miś przez całe życie swoje przeciwko kodeksowi karnemu nie wykroczył, widok jego, wśród obcych,

wywoływał taką panikę, że trzeba było i dla niego zbudować osobne podwórkę, opasane grubemi ścianami, i w ten sposób ograniczyć mu swobodę ruchów. Wprawdzie w lecie chodzi on do kąpieli w stawach, położonych o kilkaset kroków od pałacu, ale i tę wycieczkę odbywa w obroży i pod eskortą chłopaka. W zimie natomiast, kiedy niema ludzi w polach, jeździ z właścicielem sankami na spacer, lubi bardzo wdrapywać się na drzewa w lesie i przewracać na stertach ze słomą.

Rozbawiony próbuje często nakłonić właściciela

już patrzeć na jabłka, a jak dojrzeją śliwki i orzechy, traci gust do gruszek. Gustuje też niezmiernie w karmelkach i służy jak pies na 2-ch łapkach, żeby dostać ulubiony przysmaczek. Smutną stroną jego życia jest, że prawdopodobnie wypadnie mu zostać starym kawalerem. Pan jego nosił się z myślą wyszukania mu towarzyszkę życia, ale biegli, których rady zasięgano odradzili ten zamiar, utrzymując, że stan małżeński mógłby tak zgryźliwie oddziaływać na usposobienie Misia, że nie sposób byłoby sobie dać z nim radę.



Karmienie lisów.

żeby się z niem pomocował, pozwala przewrócić się, ale sam przewagi siły nie nadużywa, Miś ma doskonały apetyt; żeby jednak był łagodnym, trzymany jest na jarskiej kuchni. Jest wielkim amatorem owoców, a w zamięłowaniu do nowalji i wybrednym smaku nie ustępuje wykwiintnym gastronomom.

Kiedy się zbliża sezon owoców Miś z przyjemnością spożywa nawet niedojrzałe jabłka; niech jednak skosztuje dojrzałych, zaczyna wybredzać i zielone odrzuca, po skosztowaniu gruszek nie chce

Ta tak różnorodna gromadka przedstawicieli królestwa zwierząt dostarczyć może miłośnikom szeregu zajmujących obserwacji, a urocze krajobrazy Lipek, przyczyniają się jeszcze do urozmaicenia pobytu pod gościnnym dachem uprzejmym gospodarstwa.

Wrażenia które wynosi się z pobytu w tem patriarchalnym ustroniu mają w sobie tyle świeżości i oryginalności, że długo nie zacierają się w pamięci.

KUJAWY.

Ubiór kujawski należy do najpiękniejszych ludowych strojów, niestety, tak jak w innych dzielnicach Polski, tak i na Kujawach pod zaborem pruskim coraz więcej go zarzucają i w niektórych okolicach należy już tylko do tradycji. Co się tyczy mężczyzn — tłomaczą ich niektórzy drożyzną dawnego ubrania. W składzie gotowych ubiorów dostać dziś można kompletne nowoczesne ubranie, za część tej sumy, co się za dawniejsze płaciło, ale też nie nosi się tak dobrze, jak to ostatnie.

Niegdyś Kujawiak, sprawiwszy sobie nowe ubranie do ślubu, nosił je całe życie i brał ze sobą do trumny, dzisiaj kupuje wiele taniej, ale za to często. Strój kobiet, — pominąwszy granatowe sukienne węgierki — wiele jest tańszy, wolały go jednak zastąpić miejskimi sukniemi, co świadczy o chęci zrównania się z klasą wyższą. Nie bardzo to wypada na ich korzyść, czego dowodzi ta okoliczność, że jedna i ta sama dziewczyna w stroju kujawskim, uderza nieraz urodą, kiedy w miejskich sukniach, raczej brzydką, nazwałby ją można.

W czerwonej chusteczce na głowie, każdej jest bardzo do twarzy, a gorsecik i biała z szerokimi rękawami koszulka, dużo dodaje

wdzięku. Niestety, piękności wiejskich nikt nie przekona ile na tem tracą, gdy wezmą źle skrajaną miejską suknię z nieodzownym przodem u stanika lub bluzkę zupełnie do figury nieodpowiednią. Chusteczki, też już zarzuciły, tylko jeszcze starsze kobiety głowy niemi przystrajają.

Malowniczy strój Kujawianek przypomina bardzo krakowski, choć nie jest tak bogaty. Składa się nań prócz wyżej wspomnianej białej koszuli z szeroką kryzą i gorsecika aksamitnego lub innego, sznurowanego z przodu i wycinanego u dołu — spódniczka biała, a w każdym razie jasna w kwiatki i fartuch. Na szyi liczne sznury koralu, zakończone pękiem kolorowych wstęg, na głowie czerwona we wzory chusteczka, tak zwana persówka. Kobiety zamężne nosiły suknie jednolite bez rękawów, od stanu fałdowane, od święta na głowie kapki, t. j. czepce przepasane skręconą jedwabną kolorową chustką. Bogałe gospodynie, miały spódnice i fartuchy jedwabne adamaszkowe. Coraz już rzadziej spotyka się t. zw. węgierki. Jestto długi aż do ziemi sukieny granatowy kaftan, podbity czerwona podszewką, z małą pelerynką, fałdowany od stanu i obsyty siwym barankiem. Na lżejsze ubranie, krótkie sukienne kaftany z pętlcami, takież z tyłu we fałdy układane.

Mężczyźni, stroili się w czerwony kaftan, granatowe szerokie pantalone, wpuszczane w długie buty, kamizelę granatową bez rękawów z pętlcami, okręcali stan kilka razy w koło pąsowym pasem, na to brali długą granatową sukmanę także z pętlcami, na głowę czarny kapelus z szerokim u góry dnem,



Dożynki w Pławińsku pod Inowrocławiem dobrach p. Kazimierzy Łyskowskiej.



Żniwa w Poznańskim (fot. amat. hr. Jezierskiej z Dębna).

na dole zwężany i przybrany pawiem piórkim. Na zimę służył granatowy płaszcz z długą peleryną i czapka z siwym barankiem.

Dzisiaj ze strojami temi, najprędzej jeszcze spotkać się można na wieńcowem, gdyż na tą zabawę lubią po dawnemu się ubierać. Załączona fotografia przedstawia właśnie taką uroczystość w Pławińsku pod Inowrocławiem, majątku pani Kazimierzy Łyskowskiej. Sądzę, iż niezawadzi podać przy tej okazji i pieśń dożynkową w tej okolicy śpiewaną:

Zostań z Bogiem skowroneczku, już niema nic na poleczku.
Plon niesiemy, plon, wielmożnym państwu w dom.
Dajże Boże plonowało, po sto korcy z mędła dało,
Plon niesiemy, plon, wielmożnym państwu w dom.
Otwierajcie bramy, wrota, bo to idzie z pola robota,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Zastawiajcie stoły, ławy bo tu idzie gość niemały,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Otwierajcie okiennice, bo tu idą przodownice,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Przodownice przodowały, wszystkich za sobą pociągały,
Plon niesiemy, plon i t. d.
W pańskie progi wstępujemy, państwu ukłon oddajemy,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Nasza wielmożna pani siedzi w rogu stoła, suknia na niej
[w złote koła,
A czepeczek z karmazynu, wielmożna pani tego domu,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Przed dworem rosą gwoździki, nasz pan wielmożny
Plon niesiemy, plon i t. d. [wykręca wąsiki,
Chodzi pszczołka po suficie, wielmożna pani chodzi w aksamicie,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Przed dworem leży kamień a panienska siedzi na nim,
Siedzi, siedzi, uśmiecha się, gdyby róża rozwijała się,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Nasz pan rządca dobrze rządzi, w gospodarstwie nic nie zbłądzi,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Raniusieńko słońce wschodzi, nasz pan elew prędko chodzi,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Przed dworem rosą tarki, wielmożnej pani dziewczęta
Plon niesiemy, plon i t. d. [jak wartałki,
A na kuchni kurak siada, a nasz kucharz z rondli zjada,
Plon niesiemy, plon i t. d.
A nasz włódarz mądrej głowy, prowadzi nas między rowy,
A my się tak go boimy, gdzie zajdziemy to stoimy.
Plon niesiemy, plon i t. d.

A nasz kucier chimeryczny, bo przewrócił państwo z bryczki,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Przed dworem rośnie proso, nasze fornale chodzom boso,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Nasi parobcy jak się wzieni, to przez tydzień morgę ścieni,
Na drugi dzień się poprawili, krzywe stogi ustawili.
Plon niesiemy, plon i t. d.
Nasz ogrodniczek porwał banię, kupił sobie spodnie za nie,
Plon niesiemy, plon i t. d.
Dajże Boże plonowało, po sto korcy z mędła dało,
Plon niesiemy, plon i t. d.
A u naszych wielmożnych państwa dobry porządek, porządek,
Wystawią nam beczkę piwa, gorzały sądek!

STELLA K.



Kujawianka.
(fot. amat. p. Waliszewskiej).

WYSTAWA W MŁAWIE.

Wystawy w Mławie rozpoczęła nową serję tych wystaw okręgowych, o których dodatnim znaczeniu rozpisywać się niema potrzeby i udała się pod każdym względem znakomicie, bo nie tylko że dała w pewnych granicach obraz rozwoju i produkcji rolniczo-przemysłowej trzech powiatów Mławskiego, Ciechanowskiego i Przasnyskiego, ale i budżet swój, co się rzadko zdarza zamknęła bez deficytu, dzięki zabiegliwości Komitetu z prezesem Klickim na czele.

Jak zwykle, znaczną część wystawy zajmowały narzędzia i maszyny rolnicze demonstrowane przez działy Handlowe Towarzystw rolniczych, firmy handlowe oraz fabryki narzędzi rolniczych z firmą „Alfred Grodzki“ na czele. Specjalne pokazy i próby wystawionych maszyn odbyły się w drugim dniu wystawy na polu pod Mławą, w Szydłowcu, i wzbudziły one szerokie zainteresowanie zwłaszcza pokazy pługów i prasy Szultzego do słomy.

Dodatnią cechą wystawy Mławskiej był dosyć bogaty dział inwentarzy żywych. Główną część jego stanowiło bydło. Ogólną uwagę zwracało bydło czerwone rasy polskiej, zgrupowane w liczbie 80-ciu sztuk. Z tej liczby 20 sztuk należało do większej własności, a 60 do mniejszej. Na wystawach naszych widzieć zwykle można przeważnie wielką różnorodność typów bydła włościańskiego. Mława była drugą z rzędu wystawą (po Rawie), na której włościanie przedstawili grupę bydła czerwonego polskiego i oto w tak znacznej ilości.

Takie zgrupowanie bydła krajowego na wystawie w Mławie świadczy o tem, że znajduje się ono w tych okolicach i wskazuje niejako kierunek, jaki nadać tam by należało hodowli włościańskiej.

Wśród krów, przyprowadzonych na wystawę do Mławy, można było spotkać zupełnie dobre typy bydła krajowego. Z 3-ch buhajów na pierwsze miejsce wysunął się dwuletni stadnik krajowy Pszennego Jana z Jabłonowa, który otrzymał premię w kwocie 75 rb. Krowy przyprowadzone były przeważnie ze wsi: Turza, Dąbrowa, Wietrznia, Dłutów, Kuklin i Żerominek (ryc. 2 i 3) trzy

większe obory przedstawiły bydło krajowe: 1) majątek Radzimowice prof. St. Chaniewskiego, 2) Luberadź p. Władysława Kanigowskiego i 3) Stupsk p. Z. Grodeckiego.

Bardzo pięknie reprezentował się dział przemysłu domowego, owoc zabiegliwej pracy Koła Ziemianek Mławskich, które wystąpiły bardzo pokaźnie. Tu pracowały ulepszone warsztaty tkackie, wzbudzając wielkie zainteresowanie wśród gospodyń wiejskich, tu znaleźć można było najrozmaitsze wyroby płócienne, kilimy, hafty, koronki, roboty ochronek wiejskich i wiele innych ładnych okazów przemysłu domowego.

Osobny pawilon zajmowała szkoła gospodyń wiejskich w Grędzicach i zobrazowała tu poglądowo i za pomocą licznych prób i kolekcji całokształt swych prac szkolnych. Na wyróżnienie też zasługiwała wzorowa chata włościańska murowana z cegły palonej i kryta dachówką postawiona pod kierunkiem p. Fr. Rudowskiego przy pomocy cegielni z Szydłowka. Dobrze pomyślany i bardzo tani ten domek opisany jest szczegółowo w specjalnej broszurce i zachęci, zapewne, wiele gospodarzy do naśladowania.

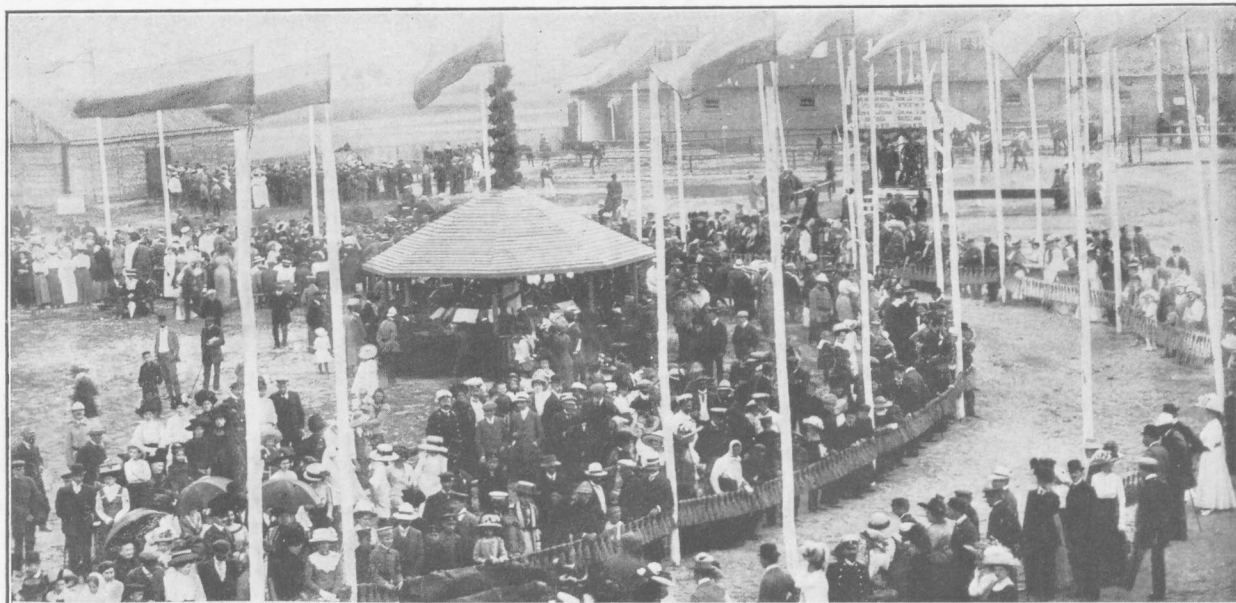
Były też urządzone półka pokazowe, które przysłużyły się też dobrze sprawie spopularyzowania wiedzy rolniczej.

Działalność miejscowych kółek rolniczych jednak nie była na wystawie zbyt bogato ilustrowaną, widzieliśmy bowiem tylko eksponaty kółka rolniczego w Grzebsku i wyroby spółki mleczarskiej w Grudusku. Duży przemysł reprezentowały dwie cukrownie: Ciechanów i Krasiniec. Bardzo też pouczające dla ludu tablice przedstawiło Towarzystwo Hygieniczne, a dział naukowy zawierał ciekawe dane statystyczne z powiatu Mławskiego. Wystawę w ciągu tych dni zwiedziło kilkanaście tysięcy osób, w znacznej liczbie włościan, którzy ochotnie i z zajęciem gromadzili się na pogawędki z dziedziny rolnictwa wygłaszane.

Słowem udała się wystawa w Mławie!



W pawilonie ziemianek.



Ogólny widok wystawy (fot. p. M. Fuchsa).



Pokaz bydła włościańskiego (fot. p. M. Fuchsa).



Pokaz koni (fot. M. Fuchsa).

ORKA MOTOROWA.

W początkach lipca r. b. w Bielicach pod Sochaczewem majątku ks. Pawła Woronieckiego miał miejsce parodniowy pokaz próbny pługa motorowego,

zupelnie dobrze i sprawnie. Cena pługa motorowego loco Królestwo Polskie wynosi 12600 rs.

Podczas prób z pługiem przy licznych zjeździe



Próba pługa motorowego w Bielicach pod Sochaczewem (fot. amat. p. St. Grodzkiego).

urządzony przez amerykańską firmę „International Hawester Company”. Pług motorowy składa się z „tractora” na 4 kołach, z których dwa tylne nalistwowane służą do popędu motoru naprzód. Silnik spalinowy 60 HP., pędzony jest naftą lub ropą, której zużywa za 1 rs. 50 kop. na godzinę.

Motor ciągnął za sobą dwa czteroskibowce lub trzy siedmiotalerzowe pługi Emersona.

Orkę wykonywał, plując na koniczysku do głębokości 7 cali, z efektem około 2 mórg na godzinę



Samochód wiejski.

ziemian też sama firma przedstawiła model samochodu wiejskiego.

Samochód, osadzony na wysokich kołach, wykazał niezwykłą sprawność na wiejskich drogach, poruszając się swobodnie, nawet na oranej roli z szybkością około 30 kilometrów na godzinę. Demonstrowany egzemplarz samochodu nabył p. Stefan Dziewulski z Sannik. Dodać należy, że pomieniony samochód, prócz do podróży, może być łatwo zastosowany do przewozu wszystkich ciężarów, a nade wszystko do dostaw mleka.

W. I.

DWIE MEWY.

Guy de Manpassaut opisuje w jednym miejscu, jak myśliwy na ciągu zastrzelił samicę dzikiej gęsi, a samiec, z rozpaczy za kochanką, nie odleciał, lecz tak długo z żałosnym krzykiem nad głową myśliwego krążył, póki sam śmierci z rąk okrutnika nie poniósł.

Czytając to, przypomniałem sobie z lat młodości zdarzenie, które na mnie wielkie wówczas wrażenie wywarło, tak, że do dzisiaj jeszcze zostało ślady w mej duszy i do dzisiaj westchnienie wyciska.

Miałem lat 19. Służyłem już wtedy pod sztandarem św. Huberta, rekrutem wprawdzie, ale rekrutem pilnym, rokującym jak najlepsze nadzieje. Przyroda miała dla mnie zawsze jakiś czarodziejski urok, który mnie przyciągał, któremu ulegałem zawsze. Długie godziny, dni i noce, spędzałem na jej łonie. Przy mnie kładło słońce, w ukraińskie sinawe mgłą przyćmione równiny stepowe, złotą swą głowę na nocny spoczynek, by rankiem, przy mnie, ze snu ją podnosić. Ja świadkiem bywałem nieraz całej wędrówki słońca po niebios błękitach. Nie był pewnym przedemną ani ostrożny zóraw lub drop, — ci stepów królowie, — ani czapla lub gęś dzika, — te czujne strażę łąk i jezior; nieraz wpadłem na ukochanym siwku, z chartami, na lisa lub szaraka, jak duch z kurhanu. Była to młodość, był zapał i ochota, czuło się skrzydła sokole, plotło się wieniec myśliwskich wrażeń i przyszłych wspomnień świetlaných.

Wybrałem się raz pewnego na wielki staw sąsiedni, by zapolować na kaczki przez całe popołudnie, wieczorem na ciągu, a przenocowawszy u młynarza, który, nawiasem mówiąc, miał śliczną córkę, na drugi dzień raniutko przepolować staw cały jeszcze po raz wtóry.

Był to cudowny wieczór sierpniowy. Z jasnego błękitu staczała się powoli rozpalona kula słoneczna i gasiła złote blaski w starym lesie dębowym, drzemającym nad stawem. Lekki wiatr wiał na wschodzie, by rozpedzić całodzienny upał i wjeżdżał morzem błękitu, na perłowym splecionym z obłoków rydwaniu, który ciągnęło stado srebrzystych delfinów. A w lustrze olbrzymiego, stawu odbijała się ta niebieska podróż obłoków i zdawać się mogło, że to dwie partje srebrzystych delfinów lub łabędzi płynie na wyścigi, do jednego celu, na zachód, w morze światła i zórz opalonych, jakie słońce rozbiło po niebie i wodzie. Las, roztaczającego się w koło mnie, oczeretu, mrucał wieczorne pacierze, a łódź moja pruća mokrą piersią pomarszczone tonie stawowe,

ciągnąc za sobą po wodzie święcący się pas. Mój wierny towarzysz, pies legawy siedział na przodzie czółna i drząc wpatrywał się w mrok sitowia, a wiatr wiał w jego długie uszy i bawił się niemi dowoli.

Miałem dnia tego wielkie niepowodzenie. Kaczki zrywały się daleko, te, które były bliżej, popudłowałem, kilka zbarczonych przepadło mi w wodzie lub oczeretach. Wracałem już ku młynowi, zły, bez zdobyczy, by popróbować jeszcze szczęścia na ciągu.

Niedaleko już brzegu, opadło mnie stado mew i odprowadzało mą łódź z nieustannym krzykiem i natrętem. Wtedy wziętem na cel jedną z nich i padł biedny ptak, śmiertelnie raniony, między szerokie liście nenufarów. Nie troszcząc się o los biednego stworzenia, popłynętem dalej.

Na ciągu tego wieczora nielepiej mi się wiodło.

Bez jednej zabitej sztuki wróciłem do młyna, myśląc, że przynajmniej w chwilce czułego *tête à tête* z śliczną młynareczką zapomnę o mych myśliwskich, niepowodzeniach. Ale i tu spotkał mnie zawód! Przesadzona pieczołowitość rodzicielska ukryła gdzieś skarb przed pałającym sercem i spojrzeniem 19 letniego młodzieńca! Młynarz był dla panicza, jak zawsze, słodkim i unizonym, ale o córce nic nie wspomniał, a panicz pytać nie śmiał. Żle tej nocy spałem, a przed wschodem słońca byłem już w czółnie.

Cudowny sierpniowy poranek, rozbudził i otrzeźwił mnie zupełnie. Od wschodu, wiał wietrzyk i marszczył w srebrną sieć zaspane wody. Jutrznia, różowych swych ust podmuchem gasiła gwiazdy na niebie i w wodzie, jakby czarodziejska kapłanka, ubrana w tkane z mgieł fioletowych szaty, przygotowała wielkie misterjum wschodu słońca, a księżyc ogromny, blade i wyczerpany po nocnej hulance szedł spać senny, w równiny stepowe.

Na stawie budzić się zaczynało życie. Tu zrywały się z wielkim hałasem i kwakiem kaczki, tam cicho zgrabne cyranki, nad moją głową przelatywały stada dzikich gęsi, a z przed łodzi zrywały się i pomykały na pół płynąc, na pół lecąc, łyski. Przepływałem koło miejsca, na którym strzeliłem wczoraj do mewy.

Zobaczyłem ich dwie, siedząc na szerokim liściu wodnej lilji. Obie były smutne, obie krwią zbroszone. Jednej z nich zwiślało skrzydło. Myślałem z początku, że obie są ranione, ale gdy się zbliżyłem, jedna z nich uleciała z wielkim płaczem i zatoczywszy krąg w powietrzu, znowu koło rannej usiadła. A moje serce wielkim ścisnęło się żalem. Zdawało mi się, że ta, ze złamanem skrzydłem, mewa, to strasznie nieszczęśliwa, a zarazem niewinna dusza, której pierwsza letnia burza połamała skrzydła. A ten ptak drugi, równie biedny i nieszczęśliwy, kochanek

lub dusza siostrzana! Biedne ptaki! Nie dla nich już różane nocy sierpniowej świty, nie dla nich błękity i wód kryształ.

Im już nie bując nad lustrami złocistych toni, i, szmaragdowymi gajami oczeretów, nie muskać srebrną pierśią zaspanych wód, nie sypiać nocą na liściach wodnych lilji!

I konał smutnie ptak biały, choć wkoło niego letnie budziło się życie, a drugi otulał go skrzydłem i żegnał boleśnie! I widziałem krew rubinową na białych piórach obu ptaków i widziałem tę samą krew na roztwierającym się do rannego życia kwiecie nenufara. Na tym małym listku, wielki odbywał się dramat. Wśród budzącego się życia, wśród błękitów i mgieł różowych, wśród szczebiotu wesołych ptasząt, śmierć siadła przy mewie na liściu wodnej lilji i czekała na długie i powolne jej konanie i brała ją w swe posiadanie, mimo protestu zrozpaczonego, srebrnopiórego kochanka!

I w tym jedynym, w swoim rodzaju obrazku, było tyle smutku, tęsknoty i bólu, tyle naturalnej jakiejś prostoty, że płacz serdeczny rozrywał mi piersi. Miałem uczucie, że popełniłem czyn niemal haniebny. I dalej płynąc myślałem sobie, jakto nie po ludzku czyni myśliwy, strzelając do stworzeń, z których

śmierci żadnej korzyści mieć nie może, jak nie po myśliwsku czyni, strzelając do łownej zwierzyny daleko i lekkomyślnie, sprowadzając biednym stworzeniom długie godziny, czasem dni nawet, strasznej, śmiertelnej męczarni.

I obrazek ten, jaki miałem na tle sierpniowego świtu i błękitnego lustra stawu, obrazek ten miłości i smutku, przeniósł się z duszy na papier w następującym wierszu:

Na szeroko rozlanych jeziora zwierciadłach
Na głębi tajemniczej, na sinawej toni
Kwiat świecił dyademem srebrnym na swej skroni
I śpiąc na drobnej fali, drgał w sennych widziadłach!

Wtem na liść szmaragdowy, co go w koło słońci
Srebrna mara zraniona z błękitów zleciała,
Którą młody myśliwy ustrzelił z swej broni
I krwią swą rubinową białą pierś oblała!

Ptak zbudził lilję śnieżną, by, nim śmierć go zmroczy,
Raz ostatni kochanki ucałować oczy
I skonać w jej objęciu, gdy się noc rozścieli

Ja do dnia łódką płynąc po sennej topieli,
Widziałem, jak na liściu mewa już konała,
A lilja krwią zboczona ranną rosą lkała!

ALBERT MNISZEK.

POLSKIE GOSPODARSTWO RYBNE.

Jak niewiele zajmuje sprawa rybna właścicieli ziemskich, świadczy o tem Wystawa Rybacka przeszłoroczna w Warszawie, gdzie na placu wystawowym widziało się zaledwie kilka gospodarstw rybnych z okazami przeważnie karpia w małych odmianach. Nie będę wymieniał tu gosp. rybnych z Wystawy, bo one wykazały już rezultaty prac swoich, ale dość poważne gospodarstwa rybne, jak z Garbowa, Potoczka, Tarnawatki, Łaszczowa, Opola i Żyrzyna z Lubelskiego, z Gostomi nad Pilicą z Piotrkowskiego, oraz gosp. rybne z Włoszczowy w Kieleckiem, gosp. rybne z Radomskiego, gosp. rybne z Siedleckiego jak z Białki, Lubiszowa, Kocka Podlodowa i t. p., a wreszcie gosp. rybne z guberni Łomżyńskiej, Płockiej i Suwalskiej, które zajmują również poważne przestrzenie, a jednak nie podążyły w szeregi Wystawy Warszawskiej, by pouczyć postępowaniem w wiedzy naszego gospodarstwa rybnego, które dźwigają nie jeden majątek w dość ciężkich warunkach pozostawionych.

Zniechęcenie, czy nie pewność siebie, lub dla oszczędności, pozbywa się wiedzy i postępu w sztuce rybackiej, którą należałoby z dniem każdym posuwać naprzód. Od 1811 roku gospodarstwo rybne

posuwało się dość wolnym krokiem w Królestwie Polskiem i równo postępowanie jego nie doszedł do zupełnej doskonałości. Jak wiadomo, gospodarstwo rybne powstało z dzikich rybołówstw na olbrzymich stawach fabrycznych, niegdyś sztucznie zatrzymanych wód płynących w nizinach gołbami i upustami czyli śluzami. W on czas stawy służyły jako zbiorniki wody dla motorów fabrycznych, a ryba, górując z rzek większych w czasie tarła z Wisły, Buga, Narwy, Warty, Pilicy Sanu, Niemna i t. p., pozostawała w stawach, mnożąc się swobodnie.

To był okres dzikiego rybołówstwa, gdzie ryby łowiono siećmi, czyli niewodami, przez arendarzy i zawodowych rybaków wrybiaczy. W roku 1811 już zaczęto zwracać uwagę na przychody z ryb i pierwsze właśnie stawy sztuczne do rozmnażania ryb na hodowlę rozpoczął Jan Jezierski, zamiłowany amator rybak, w Siemieniu powiecie obecnym Radzyńskim, a później tenże Jezierski zaprowadził kilka stawów w Falentach pod Warszawą, a następnie był powołany do Ryk, majątku hrabiego Jana Jezierskiego, byłego marszałka szlachty, gdzie zapoczątkował zakładanie stawów sztucznych. W rok później objął kierunek nad zaprowadzeniem gosp. ryb-

bnego technik rybak Tomasz Sobolewski z praktyką niemiecką i zaprowadził gosp. rybne w Rykach na przestrzeni 470 morgach, rozpoczynając pracę od 1817 roku.

W lat parę Tomasz Sobolewski urządził drugie gosp. rybne w Garbowie, własność hrabiego Jana Jezierskiego, na przestrzeni 330 morgach i kierując temi gosp. rybnymi lat 57, założył w okolicznych majątkach Królestwa i na Litwie wiele gospodarstw rybnych. Nadmienić mi wypada, że Ryki dawniej, jako najpierwsze gosp. rybne mogło się pochwalić postępowaniem, albowiem miało sztuczną wylęgarnię w specjalnym budynku zwanym „Piscykulturą“, gdzie zapładniana ikra sztucznie, wylęgała się w szklanych skrzynkach i pod szklanym dachem, a maleńkie rybki z wylęgarni płynęły z wodą do specjalnych sadzaweczek odsortowych, skąd je przepuszczano na stawki większe przesadzkowe. Na dosyć sporym budynku w szczyście widniał wspaniale wymalowany karp, jako godło hodowli ryb w bardzo ładnej miejscowości, zwanej Bogusze pod Rykami przy szosie — gdzie przejezdni przyglądali się urządzeniom efektywnego i bardzo wzorowo prowadzonego gospodarstwa rybnego.

Jako pierwsze gospodarstwo rybne w Królestwie są Garbów i Ryki, które były prowadzone z wielką akuratacją i umiejętnością! Pierwsze karpie do Ryk zostały sprowadzone w 1817 r. z Moraw i Szlązka na rozmnożenie, a stąd zasilają się inne gosp. rybne, dzięki umiejętnemu kierownictwu Tomasza Sobolewskiego, który gospodarując lat 57, uzyskał na wystawach rybnych medale srebrne i złote, oraz dyplom uznania za wzorowe i umiejętne

prowadzenie i zakładanie gosp. rybnych. Po śmierci Tomasza Sobolewskiego, objął zarząd praktykant jego p. Wacław Kamieński, a w kilka lat później, Adam Smoleński z Opola. — W czasach tych ostatnich Garbów i Ryki rozpadły się z rąk hr. Jezierskich w inne ręce, obecnych właścicieli. Garbów nabył p. Bohdan Broniewski, a Ryki dostały się p. Marchnickiemu. Ryki, dawniej jako pierwsze gospodarstwo rybne w Królestwie, było zwiedzane przez licznych panów w celu poznawania się z hodowlą ryb, które były prowadzone wzorowo z bardzo dużymi nakładami hrabiego Jana Jezierskiego. W miarę kiedy gospodarstwa rybne rozwijały się pomyślnie, powstała myśl założenia akcyjnego gospodarstwa rybnego, na którego czele stanął p. Adam Poznanski, zakładając gospodarstwa rybne w Złotym Potoku, w Kocku i Żyrzynie. Gospodarstwa rybne akcyjne „Warszawskiej Spółki Rybackiej“ w Złotym Potoku odkupił właściciel, w Kocku również właściciel spłacił spółkę i objął gosp. rybne na siebie, a w Żyrzynie spółka wytrzymała swe lata dzierżawy, dokładając sporo grosza, ponieważ brak wody i brak znajomości rzeczy nie dopisały w oczekiwanych zyskach i tu właśnie Warszawska Spółka Rybacka znalazła swój kres, tracąc dość spory kapitał. Gospodarstw rybnych obecnie znajduje się w Królestwie większych od 250 do 1000 morgów przeszło 40, mniejszych od 10 do 200 morgów przeszło 150, z ogólną produkcją ryb do 4.500.000, funtów, które idą część na Austrię, część na Prusy i Rosję, a lwia część idzie wewnątrz kraju na własne potrzeby. Zdawałoby się, że przy tak sporej produkcji ryb, ceny powinny być niższe, tymczasem ceny ryb wciąż



PATHÉFONY SĄ NAJLEPSZE

bo grają BEZ IGIEŁ — CZYSTO — GŁOŚNO i NATURALNIE

Główny Skład na Królestwo Polskie

ADAM KLIMKIEWICZ

WARSZAWA, WIERZBOWA № 8.

CENNIKI I REPERTUARY NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

A. HERTEL

FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.

TELEFON № 22-21.



Egzemplar od roku 1850.

się podnoszą znacznie, bo ongi z 12 i 13 kopiejek za funt, doszła cena obecnie do 22 a nawet 25 kopiejek na miejscu bliżej Warszawy. A zatem niema najmniejszej obawy, gdyby przybyło nawet 10 razy tyle gospodarstw rybnych, to jednak ceny ryb nie opadną, bo przyrost konsumentów wzrósł do poważnej cyfry a wciąż przybywać będzie stale, natomiast obszerne majątki skurczyły się znacznie i trudno znaleźć odpowiedni teren jednolity między niewygodnymi granicami na założenie dużej racjonalnej hodowli ryb. Gospodarstwa rybne mają ogromną przed sobą przyszłość, bo rzeki i jeziora, oraz morskie dopływy i zalewy, zostały wyrobione i nie zanosi się na to, aby rząd zaopiekował się ochroną ryb — ponosząc przy tem ogromne nakłady w sztucznym zarybianiu i strzeżeniu tak wielkiej masy wody, przy systematycznej dzikiej i rabunkowej łowli ryb przez zawodowych wyrabiaczy, którym jedynie leży na celu zysk bez pracy. Zatem gospodarstwa rybne przy fachowo wyszkolonych ludziach, mają pewną gwarancję i do takowych należałoby zabierać się energiczniej, hodując odpowiednie odmiany ryb do warunków wody i klimatu, starając się wytwarzać rasy mięsne i szybko rosnące, a zatem nie tylko karpie, lecz leszcze, karasie, liny, jazie, brzany, sielawy, sieje, sigi, stynki, krąpie, bolenie, klenie, sandacze, pstrągi, okunie, jazgarze, szczupaki, miętusy, węgorze, sumy, lipienie, cyrty, krasnopiórki, łososie, trocie a możeby dały się zaklimatyzować niektóre morskie cenne, po pewnych próbach i doświadczeniach w doświadczalniach. Posiadamy liczne jeziora i to głębokie, które zarybiać by należało rybami lubiącymi głębiny i zimne wody — urządzając

nad jeziorami sztuczne wylęgarnie i przesaczkki do wyprodukowania potrzebnej ilości zarybków.

Doświadczalnia dla naszego gospodarstwa rybnego i prawidłowego rybołówstwa jest konieczną i niezbędną, którą utrzymywać winien Zarząd Krajowego Towarzystwa Rybackiego z odsetek dochodowych gospodarstw rybnych i rybołówstwa wód dzikich, a równie Rząd Państwowy winien udzielić lub udzielać subwencji na tak poważne cele dochodowe jak i naukowe, dla uczącej się młodzieży. Badanie ryb, flory, fauny, oraz składników chemicznych wody, należy do nader poważnych i naukowych wiadomości, które w doświadczalni studjować musi przyrodnik, chemik i doktor, a stąd otrzymane rezultaty winny być pomieszczane w specjalnym piśmie rybackim co miesiąc, lub co tydzień. Oprócz Doświadczalni Krajowej — byłoby dobrze, aby młodzież wstępowała na praktyki do większych gospodarstw rybnych, studjując praktycznie wiedzę w rybohodowli. Należałoby również wtajemniczać się w hodowlę raków, a ta z pewnością dawać może szalone dochody, produkując kilkanaście tysięcy kóp rocznie.

Dotąd nikt jeszcze nie założył specjalnej hodowli raków, rzecz nie trudna, tylko są potrzebne warunki wody i odpowiednie podłoże gruntu, oraz nakład kilku tysięcy rubli w urządzenie. Specjalne pismo Rybackie jest konieczne, bo przez niego i w nim możemy się poznawać i porozumiewać, pisząc szczerze i uczciwie wyniki w spostrzeżeniach prac swych w hodowli ryb i raków. Dotąd mieliśmy wydawnictwo specjalne pod tytułem „Rolnictwo Wodne“, wydawane przez Rajmunda Stodolskiego—

L. LIPIŃSKI

Warszawa
Plac Teatralny № 7
Telefon 75-12

MAGAZYN I FABRYKA
WYROBÓW JUBILERSKICH

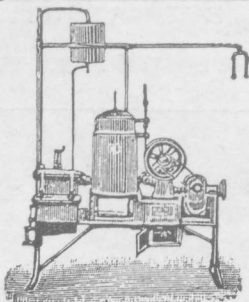
Brylanty, Rubiny,
Szmaragdy,
Szafiry i Perły.

Dom bankowy BR. POPŁAWSKI

w Warszawie

CZYSTA 8 (róg Wierzbowej)

Załatwia wszelkie operacje bankowe na najdogodniejszych warunkach.



DO OŚWIETLENIA DWORÓW, PAŁACÓW, KOŚCIOŁÓW NAJODPOWIEDNIEJSZY JEST
GAZ POWIETRZNY

wyrobiany przez najnowsze, zupełnie automatycznie działające aparaty angielskie.

Gaz powietrzny nie wybucha, nie szkodzi zdrowiu ani roślinom, nie wydaje najmniejszego zapachu i jest najtańszem oświetleniem, gdyż koszt jednego palnika wynosi $\frac{1}{4}$ kopiejki na godzinę. Każdy palnik może być zapalany i gaszony przyciśnięciem guzika na ścianie.

Objaśnienia i kosztorysy bezpłatnie wysyła

„PROMIEN” WARSZAWA, TRĘBACKA 2
(róg Krak.-Przedmieścia).

Prosimy o odwiedzanie naszego biura, dla zapoznania się z funkcjonowaniem aparatu.

w rok później wychodził Organ Warszawskiego Oddziału Hodowli ryb i rybołówstwa, wydawany przez p. Henryka Kotłubaję od 1903—1907 roku włącznie, ale, niestety, wszystko nie mogło się utrzy-

mać, może nowa organizacja silniej trzymać się będzie i dojdzie do zupełnej doskonałości w naszym polskim gospodarstwie rybnym, zostawiając pracę naszym przyszłym potomkom.

NARCYZ SOBOLEWSKI.

Nowe przepisy o komasacji gruntów włościańskich.

Zniesienie lub chociażby zmniejszenie szachownicy gruntów, ma pierwszorzędne znaczenie dla gospodarstwa rolnego włościańskiego, szachownica bowiem w znacznej mierze uniemożliwia wprost rozwój kultury rolnej; z prawdziwym więc zadowoleniem powitać należy wydane 10 Czerwca r. z. nowe prawo o zmianie niektórych przepisów, dotyczących władania i użytkowania ziemią, pozostająca w ręku włościan. Do tego prawa, dotyczącego Cesarstwa, został wprowadzony dodatek, regulujący komasację gruntów włościańskich w kraju naszym.

Dodatek ten postanawia mianowicie, że w Królestwie Polskiem uchwały gromad w sprawie zniesienia szachownicy zapadają prostą większością głosów osób, mających prawo brać udział w zebraniach gromadzkich.

Tak więc obecnie, zamiast trudnej do osiągnięcia jedno-myślnej zgody wszystkich gospodarzy, niezbędnej dotychczas dla zniesienia szachownicy, wystarczy zgoda prostej większości włościan, do gromady należących. W ten sposób została usunięta największa przeszkoda utrudniająca komasację gruntów włościańskich w kraju naszym, zostały wytworzone warunki, umożliwiające prawidłowe urządzenie wsi polskiej.

Obecnie ministerjum spraw wewnętrznych wydało instrukcję dla komisarzy i komisji gubernialnych do spraw włościańskich, wyjaśniającą samo prawo i zawierającą szczegółowe wskazówki co do wprowadzenia jej w życie.

Z instrukcji tej dowiadujemy się, że dla wykonania pomiarów przy przeprowadzaniu komasacji na zasadzie ustawy

roku 1910 są delegowani geometry, opłacani za te czynności z funduszków państwowych. W ten sposób najpoważniejszy wydatek, jaki obciążał ludność przy znoszeniu szachownicy, spada na skarb państwa.

Kierownictwo akcją komasacyjną zostało włożone na barki komisji gubernialnych do spraw włościańskich i komisarzy włościańskich. Ci ostatni zwłaszcza, mają szerokie i odpowiedzialne funkcje do spełnienia.

Procedura jest następująca. Gdy wieś postanowi przeprowadzić zniesienie szachownicy, to zawiadamia o tem komisarza, przesyłając mu kopię odpowiedniej uchwały gromadzkiej, z prośbą o pomoc i przysłanie geometry, zobowiązując się jednocześnie do udzielania geometry wszelkiej pomocy przy wykonywaniu pomiarów. Po otrzymaniu tej uchwały, komisarz powinien przybyć w jaknajszerszym czasie na miejsce, zbadać ogólne położenie wsi i przy udziale zainteresowanych nakreślić ogólny projekt komasacji i ustalić zasady szacowania gruntów przy zamianie i wyznaczeniu nowych działów, wreszcie w tych wypadkach, gdy wieś się kolonizuje, wyjaśnić kwestję zaopatrzenia wszystkich nowo powstających osad w odpowiednią do użytku wodę. Sporządzony w ten sposób, przy udziale zainteresowanych, zarys projektu komisarz przedstawia gubernatorowi, dla rozpatrzenia na naradzie, w której bierze udział członek komisji gubernialnej do spraw włościańskich, geometra kontrolujący i jeden lub kilku komisarzy. Narada ta orzeka, czy projekt jest należyście sporządzony i odpowiada wymaganiom przepisów. Następnie zaakcepto-

Najpierwsza krajowa fabryka **POMP**
Sikawek, Narzędzi ogniowych
i **Aparatów assenizacyjnych**

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

Józef Troetzer i S^{KA}

Egzystuje od 1842 roku

w **Pruszkowie**

Biuro w **Warszawie**
ul. **Hr. Berga 2**

ZA 10 RUBLI 10 FUNTÓW ZNAKOMITEJ KAWY PALONEJ

w puszcze szczelnie zamkniętej wysyła **opłatnie za zaliczką pocztową** do wszystkich miejscowości **Królestwa, na Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę**

KAWA BEZ KOFEINY—DLA CHORYCH
NA SERCE, NERWY I ŻOŁĄDEK.

CYKORYA FIGOWA I ZWYKŁA. □□□□

KAWA ŻYTNIA, ŻOŁĘDZIOWA I SŁO-
DOWA—DLA DZIECI. □□□□□□□□

□□□□□□□□□□□□□□□□

„PLUTON”

WARSZAWA—ŻYTNIA 10.

Przy zamówieniu należy **powołać się** na to ogłoszenie.

wane przez naradę projekty podlegają zatwierdzeniu komisji gubernialnej do spraw włościańskich, która przed 15 marca każdego roku ustala plan robót na najbliższy okres, wyznaczając do wykonania robót rządowych lub wolnopraktykujących geometrów. W roku bieżącym komisja może delegować geometrów natychmiast, po przedstawieniu przez komisarza odpowiedniego projektu.

Delegowany przez władze włościańskie geometra wykonuje stosownie do wypracowanego przez komisarza projektu podział gruntów w naturze, oznaczając nowe granice tymczasowymi znakami. Przy wykonaniu tej czynności współdziałają z geometrą zainteresowani włościanie, albo też wybrani w tym celu przez gromadę pełnomocnicy. Sporządzony w ten sposób plan, jest sprawdzony w naturze przez geometrę kontrolującego, przyczem zebranie gromadzkie przyjmuje wygotowany projekt prostą większością głosów, stosownie do brzmienia ustawy z 1910 roku. Skargi na uchwały gromadzkie w tych sprawach winny być kierowane do komisji włościańskiej, która rozstrzyga je i wydaje polecenia zrobienia odpowiednich zmian i uzupełnień w tabelach likwidacyjnych i przesyła wykończony plan komasacji do Oddziału ziemskiego ministerjum spraw wewnętrznych. Uchwały gromad, dotyczące komasacji, w razie niezgodności z obowiązującym prawem, są ex officio unieważnione przez komisję.

Instrukcja interpretuje i określa ściślej zawarty w ustawie termin, „komasacja gruntów“. Według tej interpretacji instrukcji przez komasację gruntów w myśl prawa z 1901 r. rozumieć należy dwa rodzaje komasacji: 1) skolonizowanie wsi, t. j. zupełne zcalenie wszystkich użytków rolnych, a conajmniej, całego obszaru, należących do danej osady gruntów ornych (inne rodzaje użytków: las, łąka mogą być wydzielone odrębnie), przyczem budowle zostają przeniesione na nowo utworzone działki. Dla przeprowadzenia skolonizowania, potrzebna jest jednak zgoda wszystkich gospodarzy, których osady muszą ulegać przeniesieniu, 2) zcalenie przy pozostawieniu bez zmiany samych siedlisk. Zcalenie to musi być zupełne, to znaczy obejmować wszelkie rodzaje użytków rolnych, a przynajmniej wszystkie grunty orne; pozostałe użytki mogą być pozostawione w innym miejscu. Jedynie odpowiadająca tym wymaganiom komasacja może być uznana za odpowiadającą pojęciu komasacji w myśl prawa z 1910 r. i dlatego też uchwały gromad, zawierając postanowienia o zcaleniu niezgodnym z powyższymi wymaganiami, podlegają unieważnieniu przez komisję, jako nieodpowiadające brzmieniu samej ustawy.

Wprowadzając zasadę zupełnej komasacji gruntów ornych, instrukcja zawiera zarazem inne jeszcze wymagania, dotyczące formy tworzonej komasacji działków. Mianowicie, stosunek długości do szerokości tworzonej kolonii lub działki gruntów ornych, nie powinien być większy, jak 5 do 1. Jeżeli sporządzony i uchwalony przez gromadę plan komasacji nie odpowiada temu warunkowi, to uchwała nie będzie wprawdzie unieważniana, ale wieś traci prawo do korzystania z pomocy bezpłatnego geometry.

Wreszcie instrukcja objaśnia, że punktem wyjścia przy wykonaniu komasacji ma być faktyczny stan posiadania, a nie zapisane w tabelach likwidacyjnych osady. Jeżeli zatem jeden i ten sam włościanin jest właścicielem paru osad, to przy komasacji otrzymuje cały grunt w jednym działku, jeżeli zaś osada, zapisana w tabelach pod jednym numerem, jest podzielona na kilka części, każda z tych części jest uważana przy komasacji za odrębną jednostkę gospodarczą.

Przepisy o komasacji gruntów włościańskich na zasadzie ustawy z 10—23 czerwca 1910 roku nie są wolne od poważnych wad i braków.

Do wad tych przedewszystkiem zaliczyć należy interpretację ustawy w tym duchu, że przez komasację rozumieć należy jedynie kolonizację wsi lub zupełne skomasowanie gruntów ornych. Interpretacja ta uniemożliwia zatem zastosowanie prawa w tych wszystkich wypadkach, w których, bądź to z powodu szczególnego położenia danej wsi, bądź też z powodu usposobienia miejscowej ludności zupełna komasacja gruntów ornych nie jest możliwa. Wypadki takie nie będą należały do wyjątkowych. Wiadomo, że ludność włościańska żyła się z istniejącą od lat wielu szachownicą i z trudem daje się nakłonić do myśli zupełnego skomasowania gruntów.

Zasadniczo należy uznać, że głównym celem ustawy jest doprowadzenie do zupełnej komasacji, ale zarazem, należałoby pozostawić fakultatywnie możliwość dokonywania komasacji częściowej tam, gdzie to jest wskazane realnymi warunkami życia.

Drugie zawarte w instrukcji wymaganie, dotyczące formy projektowanych działów i zapobiegające tworzeniu zbyt długich działów, zastrzegając, że stosunek długości do szerokości nie powinien być większym, jak 5 do 1. Niezastosowanie się do tego warunku, pozbawia prawa do korzystania z bezpłatnej pomocy geometry. Nieraz więc zainteresowani znajdują się w tem położeniu, że albo będą zmuszeni zrezygnować z komasacji, albo też zrzec się bezpłatnej pomocy geometry, co również będzie powstrzymywało proces znoszenia szachownicy.

Krepująca nadmiernie we wskazanych punktach instrukcja, pozostawia znowu zbyt wiele swobody przy dokonaniu tak ważnej przy zcalaniu czynności, jak szacowanie i podział gruntów, nie dając żadnych bliższych wskazówek, nie ustanawiając nawet jakichkolwiek ogólnych zasad postępowania, instrukcja zbywa tę kwestję ogólnikowym orzeczeniem, że przy niemożności wydzielania każdemu gospodarzowi należącej się mu ilości ziemi tej samej, co dawniej jakości, różnice jakościowe są wyrównywane albo zwiększeniem obszaru, albo też jakimkolwiek innym sposobem. Tak ogólnikowe i w gruncie rzeczy beztreściowe rozstrzygnięcie tak ważnego w sprawie komasacji momentu, stanowi poważną lukę instrukcji i może w praktyce dawać pole do dowolności, a w pewnych wypadkach nawet, nadużyć i krzywdzenia mniejszości przez większość.

Chociaż prawo pozostawia wyłącznie władzom włościańskim troskę o komasację gruntów, to jednak zamieszkałe na prowincji czynne siły społeczne powinny decydująco wpływać na ilość i jakość przeprowadzonych komasacji. Równie ważny jest współdziałanie odpowiednich żywiołów obywatelskich przy oszacowaniu i zamianie gruntów. Według instrukcji, czynność tę spełnia geometra przy udziale zainteresowanych lub ich pełnomocników. Doświadczenie uczy jednak, że do wykonania tych funkcji najbardziej powołane są osoby nie zainteresowane bezpośrednio w przeprowadzonych działkach, a więc należące do gromady i posiadające przytem duże zaufanie i szacunek z danej okolicy. Dążąc do pozyskania takich osób, gromada powinna, wybierając ze swego grona wskazanych przez instrukcję pełnomocników, zaprosić jednocześnie do pomocy przy robieniu przeszacowania i planu zamiany gruntów, dwie zamieszkałe w danej okolicy, lecz stojące po za gromadą osoby. To postanowienie gromady powinno być również wciągnięte do protokołu zebrania gromadzkiego.

Wyrażający się w tych formach udział żywiołów społecznych pozwoli na racjonalne i zgodne z wymaganiami kultury rolnej przeprowadzanie komasacji, a zarazem pozwoli na znaczne przyspieszenie prac nad zniesieniem szachownicy w kraju naszym.

GENIALNY WYNALAZEK.

Technika zrobiła w ostatnich czasach niezmierne postępy, które zaszczyt przynoszą duchowi ludzkiemu. Jedną z największych może zdobyczą jest zaprzęgnięcie siły przyrody do pracy dla naszego dobra i pożytku. Ujarzmiwszy siłę pary i pioruny, człowiek postanowił zaprzężyć do pracy wiatru, i siłę wody, która dotąd była wyzyskaną bardzo słabo.

Pobudowano licznych typów turbin, które pozwalają nam korzystać z tak rozpowszechnionej siły wody bieżącej, zbudowano też rodzaj turbin powietrznych, które nazwano popularnie wiatrakami amerykańskimi, które pozwalają nam zużytkować z tak kapryśnej na pozór nie dającej się określić siły zmiennych prądów atmosferycznych.

Jednakże jak się okazało, nie wszędzie potrzebna jest zwyczajna turbina, w wielu wypadkach trzeba tę siłę, którą nam Opatrzność oddała wszędzie niemal do użytku, zaprzężyć do pewnej dokładnie określonej czynności, na przykład do pompowania wody.

Takim genialnym, ze względu na swoją prostotę, motorem, który pozwala zużytkować siłę wody bieżącej do podnoszenia tejże wody na dowolną wysokość i pędzenia na znaczną choćby odległość do miejsca zapotrzebowania są t. zw. tarany.

Jest to napozór coś w rodzaju perpetuum mobile i wielu inżynierów, którzy nie widzieli taranów w ruchu, patrzy nań z niedowierzaniem. A jednak, w działaniu tej maszyny dowieść nie ma nic nadprzyrodzonego, bynajmniej. Oto część wody przechodząca przez taran dostarcza siły mechanicznej, która jest spożytkowana przez przyrząd do ściskania powietrza w dzwonie. Dzięki grze wentylów, woda dostająca się pod dzwon jest siłą ściśniętego powietrza i wytłaczana rurami do zbiornika, który może być położony o 200 chociażby metrów nad poziomem rzeki i o kilkaset metrów od jej brzegów.

Kto raz ustawi taran nad rzeką, w obmurowaniu podziemnym, ten już nie potrzebuje się o niego troszczyć. Pracuje on dniem i nocą bez przerwy, tłocząc wodę choćby na znaczny pagórek. Nie potrzebuje żadnego dozoru, ani naprawy. Jest to wierny i bezpłatny niewolnik, zawsze gotów do bezinteresownych usług. Można dzięki niemu nie tylko do-

starzyć w dowolnej ilości wody gospodarstwu, ale nawet założyć sobie staw na wysoko położonych nieużytkach, dokąd w zwykły sposób, nigdyby nie można doprowadzić wody.

Innym również dziś doskonałym, choć nie tak nowym wynalazkiem, są wiatraki, dziś do tego stopnia udoskonalone, że pracują latami całymi bez najmniejszego dozoru i nie obawiają się nawet burzy.

Wiatrak, ustawiony na wieżycze żelaznej, albo na budynku gospodarskim może być źródłem darmowej siły mechanicznej dla każdego gospodarstwa.

Zastosowania takiej automatycznej turbiny wiecznej są niezmiernie szerokie i różnorodne. Najprzód, można przy jej pomocy czerpać wodę z najgłębszej studni, potem pędzić ją ssąc tłoczaczami pompami na dowolną wysokość i odległość, np. do pojenia inwentarza, do wodociągów na folwarku czy w domu mieszkalnym. Jedną jednak z najważniejszych usług jest sztuczne nawadnianie łąk i odwadnianie obszarów cierpiących na nadmiar wody.

Jeżeli kto posiada kilkadziesiąt morgów błot, nie dających wcale siana, to ustawivszy sobie jeden albo parę wiatraków automatycznych, może w ciągu roku do tego stopnia osuszyć sobie takie błotniste przestrzenie, że się one zamienią niebawem w dwukośne łąki. Osuszenie przy pomocy darmowej siły wiatru, błot i zbyt mokrych łąk, jest tak dalece korzystnym, że w ciągu jednego roku wraca zupełnie koszty instalacji.

Taki wiatrak może nadto poruszać mniejsze maszyny gospodarskie, np. młynki do mąki albo do śrutu, siewczarnie, pompy, słowem jest źródłem bezpłatnej energii mechanicznej. Dziś budowane, wiatraki automatyczne działają latami bez zarzutu, stanęły więc na tym poziomie, że stały się nieocenionem pomocnikami w gospodarstwie rolnem. Tarany w połączeniu z wietrznymi, automatycznymi turbinami pozwalają nam dowolnie korzystać z darmowych sił przyrody.

Kto ma potemu odpowiednie warunki, niechaj więc korzysta z tych darmowych sił przyrody, które oddaje mu nowożytna technika do rozporządzenia, dzięki coraz to nowym udoskonaleniom i wynalazkom.

WŁ. UMIŃSKI.



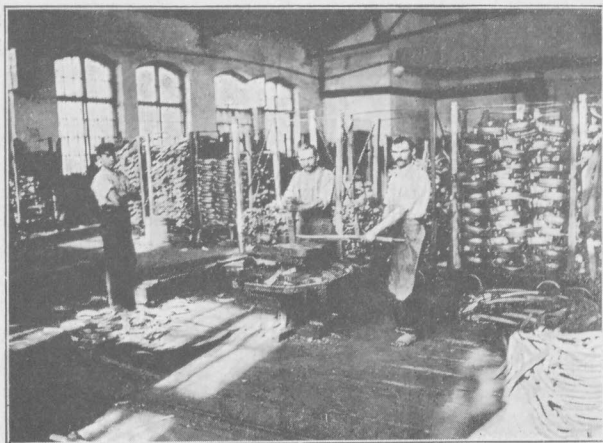
„Palace-teatr“ w Petersburgu.

WOJCIECHÓW.

Jedną z najmniej może eksploatowanych gałęzi naszego krajowego przemysłu jest przemysł drzewny. Bogactwo leśne naszego kraju, dziś jeszcze mimo ustawicznych trzebieży wielkie, staje się w ogromnej, jeżeli nie przeważnej swej części źródłem zysków dla obcych, którym drzewo nasze sprzedajemy jako materiał surowy, w rzadkich wypadkach tylko, próbując przeróbki tego materiału na towar fabryczny.

W tem zaniedbaniu naszym i lenictwie, w tem lekkomyślnem wyrzekaniu się dochodu z naszej własności, uderzającym wyjątkiem jest Wojciechów i jego zakłady.

Fabryka mebli giętych Wojciechów, założona pierwotnie jako spółka udziałowa, następnie zamieniona w towarzystwo akcyjne ze znacznym kapitałem zakładowym, stanowi wyraźny dowód, że dobrze zorganizowany przemysł drzewny u nas może dać świetne rezultaty w kraju i otworzyć wolny wstęp na rynki zagraniczne i nie po-



Wnętrze fabryki (warsztaty mechaniczne).

trzebuję się lękać żadnej konkurencji. W krótkim stosunkowo przeciągu czasu zakłady Wojciechowskie, założone głównie przez zainteresowanie w tym dziale produkcji przemysłowej kapitałów ziemskich, powstałe w tej części kraju, która słusznie dzięki zalesieniu owemu, nazwaną jest ojczyzną buczyny, rozwinęły się bardzo silnie.

Produkcja ograniczona pierwotnie wyłącznie do mebli giętych specjalnego niekosztownego typu, dziś objęła już daleko szerszy zakres; Wojciechów wyrabia dziś wszystkie gatunki mebli, nawet typu luksusowego, komfortowe, całe urządzenia dla różnych zakładów publicznych jak: teatry, sale koncertowe, kluby, instytucje etc., nadto prowadzi wyrób mebli stylowych, wzorowanych na specjalnych modelach i rysunkach szczegółowych. Towarzystwo Akcyjne Wojciechów posiada drugą fabrykę swych wyrobów w Kamieńsku, zaś składy własne i kantory w Warszawie, Petersburgu i Moskwie.

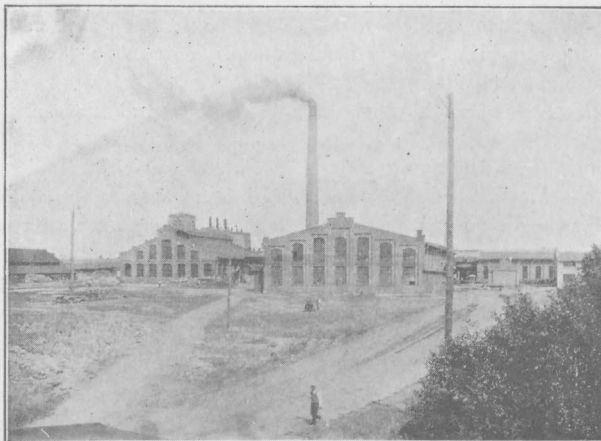
Zakłady Wojciechowskie obejmują wielkie wzorowo, według najnowszych wymagań postępu urządzone warsztaty me-

chaniczne, hallę maszyn, doskonale urządzone domy mieszkalne dla robotników, kasę wzajemnej pomocy dla pracowników swych, szkołę dla 200 dzieci robotniczych, własną straż ogniową, kółko oświatowe, orkiestrę fabryczną i inne urządzenia kulturalne.

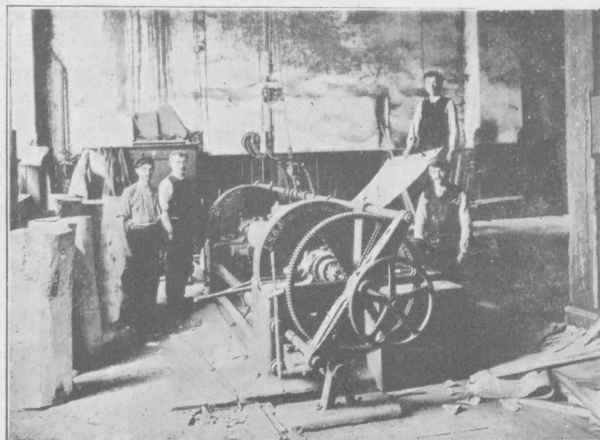
W ostatnich czasach urządzono też przy fabryce Wojciechowskiej specjalny oddział fornierów krajowych, wyrabianych z naszej polskiej brzeziny, olszyny i buczyny.

Na czele Zarządu Towarzystwa Akcyjnego Wojciechów stoi znany prezes baron Stanisław Dangiel, oraz członkowie zarządu: główny dyrektor zarządzający p. Leon Krysiński i inżynier Władysław Jechalski.

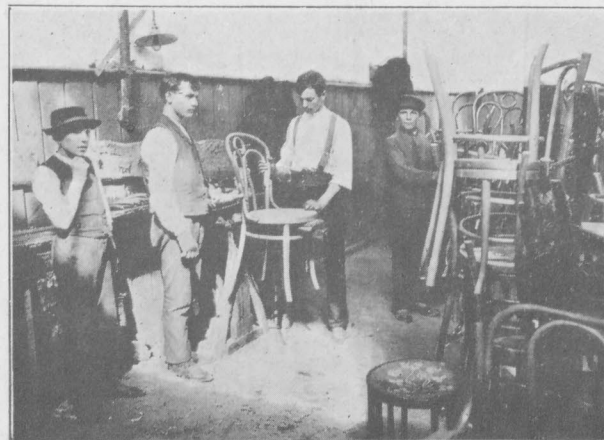
W ostatnim roku usilne starania Zarządu posunęły całą wojciechowską produkcję o ogromny krok naprzód, otwierając dla niej rynki eksportowe. Dziś wyroby Wojciechowskie idą do Francji, Holandji, Belgji, Niemiec i wszędzie zwracają na siebie ogólną uwagę swym stylem, lekkością fasonów i doskonałym wykończeniem. Po raz to pierwszy dopiero, polski przemysł drzewny uzyskał debiut zagraniczny i — za-



Widok zewnętrzny fabryki Wojciechów.



Hala maszyn.



Oddział mebli giętych.

debiutował bardzo szczęśliwie. Między innymi Zakłady Wojciechowskie urządziły całe umeblowanie „Nowej Opery“ w Hamburgu, olbrzymią kawiarnię „Frydrychshof“ w tymże mieście, teatr w Bremie, łazienki kąpielowe na Helgolandzie, a także „Palace-teatr“ w Petersburgu.

W czasie kiedy całe społeczeństwo nasze uznało i wprowadza w czyn zasadę zaopatrywania swych potrzeb o ile możliwości krajową produkcją, zakłady Wojciechowskie zasłużyły sobie na wyjątkowe poparcie, tem więcej że wyroby ich nie ustępują zagranicznym a przewyższają je pod względem taniaści.

Urządzenia wiejskich wspanialszych rezydencji, zwykłych dworów i domów mieszkalnych, wreszcie najtańszych nawet mieszkań prywatnych wykonywuje Wojciechów, dostarczając klienteli swej mebli pięknych, mocnych i lekkich, doskonale wykończonych a przytem zupełnie tanich.

Umeblowanie swojskie, z swojskiego tu na miejscu przerabianego polskiego drzewa można mieć z Wojciechowa, nie udając się do magazynów zagranicznych lub fabryk krajowych nie polskich.

W. I.

Z dziedziny kosmetyki i higieny.

ODPOWIEDZI I RADY.

P. Alinie. Proszę się nie martwić, łuszczącą się cerę szybko poprawi Emulsja Radium; włosy zaś zechce sz. pani przysłać do analizy lekarskiej, adresując do Kalotechniki, Marszałkowska 116. Cena analizy rs. 3.00.

Zasmuconej. Wągry i rozszerzone pory usunie płyn Vesta. Na złą przemianę materji najlepiej używać pigułki Oxylenowe.

Konstancji N...ej. Oczywiście zadługo sz. pani używała kąpeli słonecznej, wskutek czego nastąpiło porażenie skóry tak przykre i bolesne; proszę smarować miejsca porażone oliwą, po pewnym zaś czasie, gdy skóra już dojdzie do normalnego stanu, smarować trzeba kremem d-ra Orgleya, aby opalenizna zesła.

Lilijce. Delikatną cerę swą proszę myć otrąbkami Silvia z wodą różaną radjoaktywną.

Greczynce. Myć włosy i skórę na głowie mydłem Antrasolowem, codziennie zaś nacierać skórę Radiolem a łupież zniknie, Radiol zaś pobudzi cebulki do porostu.

Wszystkie wymienione środki posiada na składzie i wysyła za zaliczeniem pocztowem Kalotechnika Marszałkowska 116.

M-e LENA.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp. W. J., K. Z., L. O. i innym. Służyć możemy tylko od 1 lipca, gdyż I półrocze „Wsi Ilustrowanej“ wyczerpane.

P. Russanowskiej. Podzielamy w zupełności słuszność uwag Sz. Pani i postaramy się w przyszłości do nich zastosować.

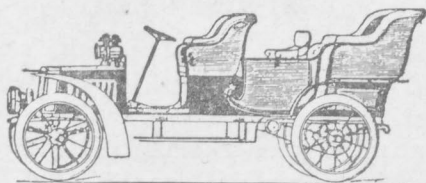
Hr. Pl. Fotografie z wycieczki do Kurtonina otrzymaliśmy. Pomieściwy w numerze Wrześniowym.

P. W. Wolowskiej. Wyprawy bielizny damskiej od naj-

POWSZECHNE TOW. ELEKTRYCZNE
MARSZAŁKOWSKA 130. Własne fabryki w RYDZE. Wszelkie Instalacje Elektryczne. Wielkie Składy materiałów elektr.

„Varsovie-Automobile”

Marszałkowska 154, telefon 85-33.



WYŁĄCZNA REPREZENTACJA

□ **SAMOCODÓW** □

Lorraine-Dietrich

• **Peugeot i Isotta Fraschini.** •

Pneumatyki: Michelin et Cie

Treugolnik i Continental.

Wielkie warsztaty reparacyjne i fabryka karoserji. Akcesorja.

tańszych dostać można w firmie „Tarnowski i Tomaszewski“, Marszałkowska róg Świętokrzyskiej.

P. K. B. w Krakowie. Oczekujemy na opis Krzeszowic.

P. J. K. w Zurichu. Za list otrzymany dziękujemy. Z poezji skorzystamy.

P. Ludwikowi Walewskiemu. Opisy polowań bardzo pożądane. „Dziennik Powszechny“ nabył hr. Michał Sobański.

P. W. O. Najlepiej wprost do redakcji, wtedy zwłoki nie ma.

P. Orzech. z Słobódki. Pomieścimy.

P. Józefowi K. z Worczy. Tylko fotografie. Prosimy o podpis na drugiej stronie.

NUMER ÓSMY ZAWIERA:

Sierpień. — Helene Mniszek.
Na Kaszubskim brzegu. — Edwarda Słońskiego.

W żniwa dzień. — Idę Pilecką.

Bolesna strata. — A. M.

Koropiec. — Hąbdanka.

Z życia towarzyskiego. — W. I.

Z kraju budrysów. — Stefanę

Podhorską-Okołów (c. d.)

Zasyplą ciemny bór... — Marję C.

Miłośnicy zwierząt. — N. B.

Kujawy. — Stellę K.

Wystawa w Mławie. — W. I.

Orka motorowa. — W. I.

Dwie mewy. — Alberta Mniszek.

Polskie gospodarstwo rybne. —

Narcyza Sobolewskiego.

Nowe przepisy o komasacji gruntów włościańskich.

Génialny wynalazek. — Wł. Umińskiego.

Wojciechow. — W. I.

Odpowiedzi redakcji.

OKOŁO STU ILUSTRACJI.

SPRZEDAŻ, KUPNO I DZIERŻAWY.

Wiadomość bliższa w Redakcji „Wsi Ilustrowanej“ Koszykowa 12.

1) **Do sprzedania dobra** w gub. Siedleckiej pow. Radzyńskim, przestrzeni 2,700 mórg, blisko kolei, dobrej glebie i kulturze; pałac, las, gorzelnia. Na dogodnych warunkach. Wiadomość w redakcji.

2) **Do sprzedania majątek** w powiecie Radzyńskim, gub. Warszawskiej, przestrzeni 420 mórg, 9 wiorst od kolei, bez serwitutów, obszerne i głębokie pokłady doskonałego torfu. Na dogodnych warunkach. Wiadomość w redakcji.

3) **Do sprzedania folwark** w Radomskim, przestrzeni 450 mórg, blisko kolei i szosy, bez serwitutów, zagospodarowany, ziemia urodzajna. Wiadomość w redakcji.

4) **Do sprzedania ośrodek** z rozparcelowanego majątku w pobliżu Częstochowy, przestrzeni 120 mórg, ziemia bardzo dobra, położenie ładne, rzeka, dwór obszerny i inne zabudowania. Wiadomość w redakcji.

5) **Do sprzedania lub zamianę** na dom majątek w pow. Koneckim, gub. Radomskiej, przestrzeni 1,772 morgi, 8 wiorst od kolei, dwór o 9-ciu pokojach, zabudowanie dostateczne w dobrym stanie, torfu 75 mórg. Na dogodnych warunkach. Wiadomość w redakcji.

6) **Do sprzedania folwark** w Płockiem, przestrzeni 217 mórg, z glebą urodzajną, w kulturze. Dom o pięciu pokojach, drewniany, wygodny i suchy, 5 wiorst od szosy, zagospodarowany. Wiadomość w redakcji.

7) **Do odstąpienia dzierżawa** w gub. Siedleckiej, pow. Radzyńskim, przestrzeni 683 mórg, 10 wiorst od kolei, bardzo tania, na dogodnych warunkach. Wiadomość w redakcji.



MIESIĘCZNIK HERALDYCZNY

ORGAŃ TOWARZYSTWA HERALDYCZNEGO WE LWOWIE.

Czasopismo naukowe, poświęcone sprawom heraldyki, stragistyki i genealogii POD REDAKCJĄ D-ra WŁADYSŁAWA SEMKOWICZA
Prenumerata roczna wynosi 6 K. (4 Rb. — 6 Mk). Członkowie Towarzystwa płać wpisowe 2 K. i roczną wkładkę w wysokości 12 K. i otrzymują bezpłatnie „Miesięcznik“, a nadto „Rocznik“.

Adres Redakcji: Lwów, Zamojskiego 1. 14



SKŁAD TABACZNY
K. DOMARADZKI
(wł. Ad. Wyganowski)
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 102. TELEF. 186-79.

Stale co tydzień otrzymuje świeże transporty tytoni, cygar i papierosów tylko z pierwszorzędných fabryk krajowych i rosyjskich. Ogromny wybór znanych fajek angielskich „PETERSOUS“.

Duży wybór bursztynów i różnej galanterji tabaczej.

Obstalunki wysyła się pocztą.

„Sztuka Prowadzenia Samochodu“

przez Lorda MONTAGU.

Do nabycia w Redakcji „WSI ILUSTROWANEJ“
po cenie 60 kop. z przesyłką.

NAJSTARSZA KRAJOWA FIRMA ELEKTROTECHNICZNA

Ruśkiewicz, Godlewski i Tyszka

INŻYNIEROWIE

Warszawa, ul. Moniuszki № 3 (róg Nowo-Jasnej—wprost Filharmonii)

Zaprowadzanie urządzeń elektrycznych OŚWIETLENIA i SIŁY w miastach, MAJĄTKACH ZIEMSKICH i fabrykach. □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □

Wykonano, oprócz wielu innych, oświetlenie Filharmonii Warszawskiej, Ratusza Miejskiego w Warszawie, letniska „Konstancin“ i Dóbr „Potok Złoty“.

Zaprowadzanie urządzeń telefonicznych w majątkach ziemskich.

8-klasowa szkoła filologiczna

Hr. Z. Wielopolskiego

w Warszawie, ulica Bracka 18. Telefon 82-29

utrzymywana przez

KOŁO im. ŚW. STANISŁAWA KOSTKI

Od nowego roku szkolnego 1911/12 otwarta będzie klasa 5-ta.

Przy szkole — internat.

Egzamina dla nowowstępujących od 25 Sierpnia.

Oplata za naukę: od I—IV kl. rb. 100 rocznie, od kl. V rb. 120; natomiast w kl. wstępnej rb. 60 rocznie.

Przełożony szkoły

ADAM JACZYŃOWSKI.

Stenol ELIKSIR

KREM, PROSZEK DO ZĘBÓW
DR. MED. N. CYBULSKIEGO
PROF. UNIWERS. JAGIELLONSKIEGO
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE
PRZY UŻYWANIU STAŁE CHRONI OD WSZELKICH CHOROÓB ZAKAŻNYCH

Apteka Homeopatyczna
 Towarzystwa Zwolenników Homeopatyi

W WARSZAWIE
 ul. NOWY-ŚWIAT № 16
 Telefon 23-44

Wysyła lekarstwa
 za przekazem.
 CENNIKI ILLUSTROWANE
 BEZPŁATNIE.

Dochód z apteki przeznaczonej na budowę Szpitala Homeopatycznego.

MEBLE

nabywającym poleca się Magazyn firmy

„STANISŁAW”

MARSZAŁKOWSKA Nr 129.
 Telefon 195-45.

zaopatrzone w meble własnego wyrobu wykwintne i skromne po cenach umiarkowanych.

Zwiedzenie magazynu do kupna nie obowiązuje.

JÓZEF METELSKI

WARSZAWA, CHMIELNA № 35. TEL. 152-27

Przygotował na sezon wiosenny i letni: kostjmy, suknie, spódniczki, bluzki, okrycia, palta i żakieta w różnych gatunkach i kolorach. Niezależnie od powyższego przyjmuje się obstalunki z własnych i powierzonych materiałów. CENY MOŻLIWIE NIZKIE. ZAMÓWIENIA Z PROWINCJI USKUTECZNIĄ SIĘ SZYBKO I DOKŁADNIE. UWAGA! ŻYCZĄCYM NA ROZPŁATY MIESIĘCZNE.

GRODZISK

Zakład leczniczy i Sanatorium

CAŁY ROK OTWARTY.

40 minut od Warszawy kol. Wiedeńska. Ładny park. Kanalizacja. Oświetlenie elektryczne. Najnowsze urządzenia lecznicze. Kuchnia własna dyetetyczna. Ogrzewanie centralne. Choroby nerwowe, przemiany materji, narządów, krążenia przewodu pokarmowego, alkoholicy i morfiniści. Ceny 3.50 do 4.50 kop. dziennie.

Kierownik Zakładu Dr. BRONISŁAW MALEWSKI.

Zakład wyrabia znany z dobroci ekstrakt igliwia sosnowego.

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNO-CHIRURGICZNY i ZANDEROWSKI

D-rów W. ŁAPIŃSKIEGO i W. REKLEWSKIEGO

ALEJA JEROZOLIMSKA № 65, Telefon № 20-22.

Choroby kręgosłupa (skrzywienia, garby) stawów, kości, mięśni, nerwów, przemiany materji (artretyzm itp.). Mechanoterapia (przyrządy motorowe), gimnastyka lecznicza, przyrządy do leczenia elektryczno-światelnego i gorącym powietrzem.

50% OSZCZĘDNOŚCI OPAŁU

patent. MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA usuwa wilgoć, oraz Piece żelazne multiplikatorowe.

Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż., Warszawa, Al. Jerozolimska 71, tel. 15-02.

HEMOROIDY

radycznie i szybko leczy, wstrzymuje krwawienie
 Zatwierdzony przez Departament Medycyny za № 4155
 najlepszy środek **„Ratelin-Hebdy”**
 Zawiera tylko środki roślinne Cena Rb. 1.25.
 Skład główny: Apteka K. WENDY w Warszawie.
 Sprzedaż w aptekach i składach.



Żeby Panie zechciały policzyć ile pieniędzy wyrzucają bezpowrotnie na darcie bielizny, piorąc ręcznie i na koszty prania, wiedziałyby ile zaoszczędzają przy pomocy JOHNNA maszyny do prania

„CAŁA PARA”
 180,000 w użyciu.

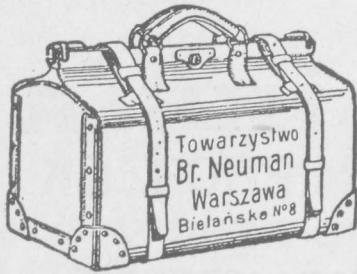
TOW. AKC.

J. A. JOHN

WARSZAWA
 HORTENSJA 7.
 MOSKWA
 MIASNICKAJA 16

„Dla Młodzieży”

Jednodniówka na rzecz Szkoły Im. św. Stanisława Kostki. Do nabycia w redakcji „Wiś Ilustrowanej”. Cena rb. 1.



KUFRY podróżne dla dam i panów, KUFRY do kapeluszy damskich i męzkich, KUFRY do prób. WALIZY, TORBY, NESESERY, oraz wykwinna galanterja skórzana. Wielka Wypzedaż Damskich Torebek najnowszych fasonów w składzie fabrycznym

T-wa BRACI NEUMAN

WARSZAWA, ul. BIELAŃSKA № 8
(róg Daniłowiczowskiej obok nowego gmachu Banku Państw.)

Broszury
i wszelkie
objaśnienia
wysyła darmo
firma



J. ZABOKRZECKI i S-ka
WARSZAWA, ZIELNA № 6.

**BIURO POŚREDNICTWA PRACY
ZWIĄZKU PRACOWNIC IGŁY**

Poleca Paniom Obywatelkom ziemskim, oraz Paniom wyjeżdżającym na wieś, krawczynie na miesiące: lipiec, sierpień.
Warunki stosownie do umowy.

Warecka 14 m. 20, od godz. 8—10 wiecz.

FINK i WILLE

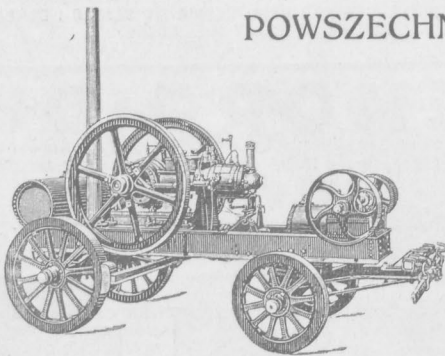
Fabryka ul. Dworska № 10
WARSZAWA
Kantor ul. Elekoralna № 32
Telefon 38-45.

NAJLEPSZE ŻELASTWO
KUCHENNE I PIECOWE.

PIECE ŻELAZNE.
PIECE PIEKARSKIE.
CENNIKI NA ŻĄDANIE.

Najtańsze, najekonomiczniejsze, nie wymagające obsługi i pewne w działaniu.

POWSZECHNIE UZNANEJ DOBROCI



MOTORY „URSUS“

pędzone za pomocą ropy, nafty, spirytusu lub gazu ssanego.

LOKOMOBILE ropowe

dla gospodarstw wiejskich zaszczycone ogólnym uznaniem licznych naszych odbiorców.

TOWARZYSTWO UDZIAŁOWE SPECJALNEJ FABRYKI

**ARMATUR i MOTORÓW „URSUS“
W WARSZAWIE.**

Adres telegraficzny: „WARSZAWA—URSUS“.

KRYSTAŁOWE

LUSTRA SZYBY
TREMA

Olbrzymi
wybór.
Nizkie
i stałe
ceny.

PIERWSZA CHRZEŚCIJAŃSKA FABRYKA

LUSTER KRYSTAŁOWYCH
FRANCISZEK BAYTEL

ULICA
NOWY-
ŚWIAT

Nr 27



UDOSKONALONE URZĄDZENIA BIUROWE SYSTEMU AMERYKAŃSKIEGO

poleca

KAROL F. FIŚER

WARSZAWA, MAZOWIECKA 10.

ŻĄDANIE OSTATNIA NOWOŚĆ

PERFUMY

HA-NA-KO

TWA S. J. CZEPIELEWIECKI i S^{WIE} MOSKWA

Łowickie Towarzystwo Przetworów Chemicznych i Nawozów sztucznych

Zarząd Towarzystwa: WARSZAWA, WŁODZIMIERSKA 3. Telefon 188.

Zakłady fabryczne w ŁOWICZU, St. Dr. Ż. W.-W. i Kal.

POLECA:

Nawozy sztuczne: Superfosfaty 16%, 18%, 20%, Superfosfat amoniakalny, Kainit, Sole potasowe, Saletra chilijska, Zużle Thomasa 16%, 18%, Nawozy kompletne.

Chemikalja: Kwas siarczany 50°, 60°, 66°, Kwas saletrzany, Kwas solny, Siarczany: sodu, żelaza i miedzi, Chlorek cynku, Minja, Tlenek kobaltu.

W ciągu swojej kilkunastoletniej działalności Towarzystwo otrzymało najwyższe odznaczenia: Dyplomy uznania, oraz medale złote na wystawach wszechświatowych w PARYŻU, LONDYNIE, MADRYCIE, HADZE, oraz na wystawach w Cesarstwie i Królestwie: w WARSZAWIE, MIŃSKU, WILNIE i DŻWIŃSKU (Dynaburg). Dyplom uznania w r. 1909 na Wystawie Przemysłu i Rolnictwa w CZĘSTOCHOWIE.

MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH Posiada wszystkie artykuły w zakres męskiego krawiectwa wchodzące, gotowe i na obstalunek, oraz ubrania do wszelkich sportów. Specjalność BRYCZESY. W WARSZAWIE, Nowosenatorska № 4. Wielki wybór BUREK SŁAWUCKICH. Ceny stałe.



GRACJAN BRZEZIŃSKI

Ś-to Krzyska 15 (wprost Włodzimierskiej). Kufry, Walizy, Nesesery, Galanterja Skórzana, Obuwie ciepłe i letnie, Kalosze. — Wyroby własne.



Egzystuje od r. 1859

Skład Instrumentów Muzycznych i Gramofonów

Jul. FEIGENBAUMA

Warszawa, Marszałkowska № 153

Poleca wszelkie instrumenty muzyczne, gramofony, płyty ostatnich zdjęć, pianina i fisharmonje pierwszorzędnych fabryk.

Wigura i Niwiński Chmielna Nr. 37, róg Marszałkowskiej. Telefon 75-02. Wielki wybór „koszul kolorowych” i najmodniejszych krawatów. Magazyn bielizny męskiej i damskiej własnego wyrobu.

OSTATNI TYDZIEŃ TANIEGO MIESIĄCA.

WIENIEN.

BUDAPESZT.

BERLIN.

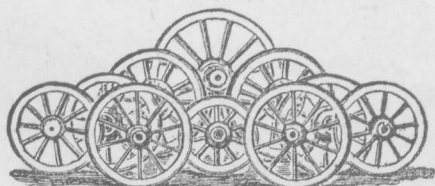
Leopold KOCH, Warszawa

Miodowa 2, róg Senatorskiej. Telefon № 35-54.

NAJWYKWINTNIEJSZE GOTOWE UBIORY MĘSKIE I DLA MŁODZIEŻY, JAK RÓWNIEŻ I NA OBSTALUNKI.

AMERICAN TAILOR DEPARTAMENT.

OBSTALUNKI W NAJSUBTELNIEJSZYM DOPASOWANIU.



Wielki Medal Srebrny na Wystawie w Lublinie 1908 r.
Złoty Medal na Wystawie w Częstochowie.

SPECJALNA FABRYKA KÓŁ I WOZÓW

H. WAGNER i S-ka

WARSZAWA, ULICA ŁUCKA № 11. TELEFON № 62-99.

Koła do karet, powozów, bryczek, platform, wozów i wszelkie inne gwarantowanej trwałości, naciągane na zimno na maszynach hydraulicznych. Nowe wozy kolejne, saskie i półtoraczne, platformy różnych typów.

Cenniki na żądanie gratis i franko.

HOTEL BRISTOL W WARSZAWIE

250 pokojów komfortowych, elektryczność, centralne ogrzewanie, windy systemu „OTIS”, telefony, pierwszorzędna restauracja etc. etc.

KASY PANCERNE KASETKI BEZKŁUCZOWE, PRASY KOPJOWE KUTE □ □ □ □ □ □ □ □ SKARBCE dla Banków i instytucji wzajemnego i drobnego kredytu i kościołów □ □ □

TOKARNIE stal, pilniki. Najtaniej poleca fabryka nagrodzona MEDALEM ŻŁOTYM, wszelkie maszyny i narzędzia do obrabiania metali i drzewa. Artykuły techniczne, wagi,

WACŁAW MATYSZKIEWICZ

Warszawa, Zgoda 7, telef. 30-34 i 108-43.

CENNIKI NA ŻĄDANIE FRANCO!



POMPY STUDZIENNE I ARTEZYJSKIE DO CELÓW ROLNICZYCH I PRZEMYSŁOWYCH.

SIKAWKI i NARZĘDZIA DLA STRAŻY OGNIOWYCH.

WODOCIĄGI PNEUMATYCZNE

poleca

FABRYKA

Stanisław Trębicki i S-ka

Warszawa, Sienna 39. Telef. 10-30.

Cenniki i oferty na żądanie.



WARUNKI PRENUMERATY „WSI ILUSTROWANEJ”.

W Warszawie: rocznie 9 rb., półrocznie 4 rb. 50 k., kwartalnie 2 rb. 25 k. (Za odnosz. do domu 50 k. rocznie). Na prowincji: rocznie 10 rb., półrocznie 5 rb., kwartalnie 2 rb. 50 k. W Ameryce: rocznie 8 dolarów. Cena pojedynczego zeszytu 1 rb., z przesyłką 1 rb. 20 kop., zagranicą 1 rb. 30 kop.

CENA OGŁOSZEŃ.

Na okładce: (przed tekstem) cała kolumna 120 rb. 1/2 kolumny 65 rb., 1/4 kolumny 35 rb., 1/8 kolumny 20 rb.; Ogłoszenia przed tekstem o 25% drożej, na papierze kredowanym o 40% drożej.

Na okładce: (po tekście) cała kolumna 100 rb., 1/2 kolumny 55 rb., 1/4 kolumny 30 rb., 1/8 kolumny 15 rb.;

Na okładce: (zewnątrznej) tylko cała kolumna 150 rb. Ogłoszenia „opisowe” po 75 kop. za wiersz jednoszpaltowy petitu lub jego miejsce.

Ogłoszenia „zwykłe”: cała kolumna 100 rb., 1/2 kolumny 55 rb., 1/4 kolumny 30 rb., 1/8 kolumny 15 rb., 1/16 kolumny 8 rb.

Redakcja „WSI ILUSTROWANEJ” Koszykowa Nr 12, w Warszawie. Telefon Redakcji i Administracji 116-99. — Telefon prywatny Redaktora 120-00.